

Nr. 819-820.

BIBLIOTEKA Powszechna

Henryk Ibsen.



BIETA MORSKA.

Sztuka w pięciu aktach.

Przełożył

Jan Śliwoń.



Każdy tomik można osobno nabyć.

Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA

W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE
w każdej księgarni.



HENRYK IBSEN.



KOBIETA MORSKA.

SZTUKA W PIĘCIU AKTACH.

PRZEŁOŻYŁ

JAN ŚLIWOŃ.



LWÓW — ZŁOCZÓW.

Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla.



OSOBY.

Dr. WANGEL, lekarz powiatowy.

ELLIDA WANGEL, jego druga żona.

BOLETTA | jego córki z pierwszego

HILDA, podłotek jeszcze | małżeństwa.

ARNHOLM, kierownik szkoły.

LYNGSTRAND.

BALLESTED.

OBCY.

MŁODZIEŻ MIEJSKA.

TURYŚCI.

LETNICY.

Rzecz dzieje się w małej miejscinie, w północnej
Norwegii.

Okolice fjordów pełna. — Lato.

AKT PIERWSZY.

Na lewo dom dra Wang'a, okolony wielką, krytą, umeblowaną werandą. W okół zewsząd ogród. Przed werandą słupek do utwierdzenia flagi. Na prawo w ogrodzie altana; w niej stoi stół i trzy krzesła. W tyle płot z małą furtką. Za płotem ciągnie się wzdłuż wybrzeża droga, zdobna dwoma szeregami drzew. W perspektywie widać za drzewami zręby skał o wysokich szczytach. — Ciepły, skąpany w świetle słońca poranek.

SCENA I.

Ballested, mężczyzna średniego wieku, w starej aksamitnej kurcie i szerokim kapeluszu artystycznym, krząta się około słupa, do którego ma być przytwierdzona flaga, leżąca na ziemi. Opodal sztalangi z rozpiętym płótnem. Tuż obok składane krzesło, na którym leżą paleta, paleta i skrzynka z przyborami malarskimi. **Boletta** **Wangel** wychodzi z narożnego pokoju na werandę. Wnosi wielki wazon kwiatowy i stawia go na stół.

Boletta. Jakże tam, będzie się trzymała?

Ballested. Będzie, będzie, panienko. Toć to drobnostka. Przepraszam za śmiałość... Czy oczekujecie dziś państwo gości?

Boletta. Tak. Odwiedział nas ma kierownik szkoły **Arnholm**. Przyjechał jeszcze w nocy.

Ballested. **Arnholm**?... Zaraz... czy nie nazywał się tak samo ów nauczyciel domowy, co tu gościł przed latami?

Boletta. To właśnie ten sam.

Ballested. Patrzajcie! To on wraca w nasze okolice!

Boletta. Dlatego też przygotowaliśmy flagę.

Ballested. Oczywiście, rozumie się...

Boletta wraca do pokoju.

K-109/80/ M7225

SCENA II.

Ballested. Lyngstrand zbliża się ulicą na prawo i staje zaciekawiony na widok sztalug i przyborów malarskich. Jest to szczupły młodzieniec, skromnie, lecz przyzwoicie ubrany, o chorowitym wyglądzie.

Lyngstrand z za płotu. Dzień dobry!

Ballested odwraca się. A! Dzień dobry! Przywiązuje flagę. Taaak — nareszcie! Rzuci ostatnie na flagę spojrzenie i zabiera się do sztalug. Dzień dobry, szanowny panie! Nie mam wprawdzie przyjemności...

Lyngstrand. Pan zdajesz się być malarzem?...

Ballested. No tak, oczywiście... Dlaczego bym nie miał być malarzem?

Lyngstrand. Widzę... Czy nie pozwoliłby mi pan wejść na chwilę?

Ballested. Nic pan tu szczególnego nie ujrzy. Ale może pan wejść... proszę bardzo.

Lyngstrand. Stokrotne dzięki. Wchodzi furtką ogrodową.

Ballested maluje. To właśnie fjord wśród wysp.

Lyngstrand. Widzę...

Ballested. Brak tu jeszcze figury. Nie mogłem w całym mieście znaleźć modelki.

Lyngstrand. Więc umieści pan tu jeszcze figurę?

Ballested. Tak. Tu z przodu na skale legnie półumarta kobieta.

Lyngstrand. Dlaczegoż ma być półumarta?

Ballested. Dała się morzu zwabić i nie może się już wy dostać. Leży oto na skale nadmorskiej, jak pan wnet ujrzy.

Lyngstrand. Więc dlatego?...

Ballested. Pani domu podszepnęła mi pomysł takiej sceny.

Lyngstrand. Jakże pan nazwie ten swój obraz?

Ballested. Prawdopodobnie: »Skon kobiety morskiej«.

Lyngstrand. Bardzo ładnie... Wcałe będzie dobry obraz.

Ballested spogląda nań. To i pan uprawia ten zawód?

Lyngstrand. Malarza — sądzi pan?

Ballested. Tak.

Lyngstrand. Nie, nie jestem malarzem. Kształcę się w rzeźbie. Nazywam się Jan Lyngstrand.

Ballested. Pragniesz więc pan być rzeźbiarzem? Rzeźba... piękna gałęź sztuki... ani słowa... Zdaje mi się, że spotykałem pana kilka razy na ulicy. Bawi pan u nas już oddawna?

Lyngstrand. Nie, od czternastu ledwie dni. Ale postaram się, by tu spędzić całe lato.

Ballested. Zapewne dla tutejszych kąpiel?

Lyngstrand. Chciałbym odzyskać nieco sił.

Ballested. Nie jest pan chyba chory?

Lyngstrand. Jestem cokolwiek niezdrow. Ale to nic groźnego. Mam zbyt wąską pierś.

Ballested. Noo!... To drobnostka! Zresztą nie zaszkodziłoby zasięgnąć rady jakiegoś zdolnego lekarza.

Lyngstrand. Zamierzam też przy tej sposobności pomówić z doktorem Wanglem.

Ballested. Nie powinien pan zwlekać. Patrzy na lewo. Zbliża się znowu okręt. Na pokładzie tłok przyjezdnych. Ruch wzmaga się u nas niesłychanie szybko, z każdym niemal dniem.

Lyngstrand. Zauważyłem również, że tu panuje bardzo ożywiony ruch.

Ballested. Letników przybyła również moc. Lękam się niekiedy, że nasze poczciwe miasto zatraci wskutek napływu obcych swą dawną fizyognomię.

Lyngstrand. Czy pan tutejszy?

Ballested. Nie, nie... Alem się tu zaakla...zaaklimatyzował. Wrosłem tu niejako dzięki długoletniemu nawyknienu.

Lyngstrand. Więc mieszka pan już tu przez dłuższy czas?

Ballested Ze siedemnaście lub osnaście lat. Zjechałem w te strony z towarzystwem aktorskiem Skiwego. Popadliśmy potem w kłopoty finansowe i nie mogliśmy się utrzymać. Towarzystwo rozprużyło się po całej okolicy.

Lyngstrand. A pan pozostałeś w mieście?

Ballested. Tak, pozostałem i... nie żałuję. W teatryku chodziłem co najwięcej około dekoracyi.

SCENA III.

Ci sami. Boletta.

Boletta wychodzi z pokoju na werandę, dźwigając krzesło do bujania i postawiwszy je na werandzie, woła do pokoju. **Hildo**, poszukaj no podnóżka dla ojca.

Lyngstrand zbliża się do werandy i składa ukłon. **Dzień** dobry, panno Wangel!

Boletta w drzwiach werandy. Ach, to pan, panie Lyngstrand? Dzień dobry! Przepraszam na chwileczkę... zobaczę tylko... Wchodzi do pokoju.

Ballested. Poznał już pan tych państwa?

Lyngstrand. Bliżej nie... Spotykałem niekiedy pаниenki u znajomych. Mówiłem też onegdaj z panią domu podczas muzyki na »korsie«. Prosiła mię, bym kiedyś do nich zaglądnął.

Ballested. Powinien pan korzystać z tej znajomości.

Lyngstrand. Myślałem też o odwiedzinach, a raczej o wizycie... Nie mogłem jednak znaleźć powodu...

Ballested. Eee... powód... Patrzy na lewo. Do dyabła! Zbiera swoje przybory. Statek przybija do brzegu. Polecę do hotelu, może mię kto zawoła z przyjezdnych. Zapomniałem panu jeszcze powiedzieć, że jestem także biegły w sztuce golenia i strzyżenia.

Lyngstrand. Jesteś pan, jak widzę, nader wszechstronnym.

Ballested. W małych miasteczkach trzeba się nie-

raz mieć rozmaitych zajęć. Jesliby pan kiedyś zamierzał zaprowadzić jakieś zmiany w swej fryzurze lub brodzie, to kaź pan sobie przysłać nauczyciela tańców: Ballesteda.

Lyngstrand. Nauczyciela tańców?

Ballested. Lub prezesa »Związku muzycznego«, to wszystko jedno. Dziś wieczór popisujemy się właśnie na »korsie«. Do widzenia! Sługa uniżony!

Wychodzi, dźwigając przybory swe, furtką i oddala się drogą na lewo.

SCENA IV.

Lyngstrand, Boletta i Hilda.

Hilda zjawia się na werandzie z podnóżkiem.

Boletta znosi kwiaty.

Lyngstrand kłania się Hildzie z ogrodu.

Hilda w drzwiach werandy, nie odpowiada na ukłon. **Boletta** już nam oznajmiła, żeś się pan nareszcie dziś zdobył na odwagę, by tu zajrzeć.

Lyngstrand. Tak; pozwoliłem sobie na tę śmiałość, bym panie odwiedzić.

Hilda. Pan zapewne wraca z rannej przechadzki.

Lyngstrand. O nie, nie odbywałem dziś przechadzki.

Hilda. Toś się pan pewnie kąpał?

Lyngstrand. Tak, siedziałem trochę we wodzie. Zdybałem też matkę pani, szła ku swojej budce kąpielowej.

Hilda. O kim pan mówi?

Lyngstrand. O matce pani.

Hilda. Aa... tak! Stawia podnóżę przed fotelem.

Boletta by skierować rozmowę na inne tory. **Nie** widział pan tam gdzie na wybrzeżu łodzi ojca?

Lyngstrand. Zdaje mi się, że widziałem łódź, dobijającą do brzegu.

Boletta. To zapewne ojciec. Odwiedzał swych chorych na wyspie.

Lyngstrand staje na pierwszym schodzie werandy. Jak pięknie tu wszystko przystrojone w kwiaty!...

Boletta. Czy może nie ładnie ubrałam stół?

Lyngstrand. Przecudnie, jakby w jakie święto domowe.

Hilda. Bo też dziś obchodzimy święto.

Lyngstrand. Domyślałem się tego... Zapewne ojca imieniny...

Boletta ostrzega Hildę. Hm... hm...

Hilda z całym spokojem. Nie... imieniny mamy.

Boletta półgłosem z gniewem. Ależ Hildo!...

Hilda tak samo. Daj mi spokój. Do Lyngstranda. Pan zapewne wraca do domu na śniadanie?

Lyngstrand cofa się o krok. Tak, pójdę na przekąskę.

Hilda. Zadowolony pan z pobytu w hotelu?

Lyngstrand. Nie mieszkam już w hotelu. Tam mi cokolwiek za drogo.

Hilda. Gdzież pan teraz mieszka?

Lyngstrand. Na górze u pani Jensen.

Hilda. U której to pani Jensen?

Lyngstrand. U akuszerki.

Hilda. Wybaczy pan, ale trudno, abym...

Lyngstrand. Ach, nie powinienem być tego po-wiedzieć.

Hilda. Czego?

Lyngstrand. Com właśnie powiedział.

Hilda patrzy nań niechętnie. Nie rozumiem pana wcale.

Lyngstrand. Tak... tak... Ale panie pozwolą, że się pożegnám...

Boletta staje na schodach. Do widzenia, panie Lyngstrand. Niech nam pan dziś wybaczysz... Ale kiedy indziej, gdy pan będzie miał trochę czasu, wstąp pan na pogawędkę z ojcem i z nami.

Lyngstrand. Serdecznie dziękuję... i nie omieszkać korzystać ze zaproszenia. Kłania się i wychodzi furtką. Z ulicy zwraca się jeszcze raz ku werandzie i kłania się ponownie.

Hilda półgłosem. Do widzenia, do widzenia! A pozdrów pan odemnie mamę Jensen.

Boletta cicho, chwyciwszy ją za ramię. Hildo! Ty dzikusie! Oszalałaś już do reszty?! Mógł przecie ustyszeć!

Hilda. No!... Sądziś, że mi na nim zależy?...

Boletta patrząc na prawo. Ojciec nadchodzi!

SCENA V.

Ci sami i doktor **Wangel** nadchodzi drogą na prawo w stroju podróżnym, z torebką podróżną w ręku.

Wangel u wejścia do ogrodu. No, jestem z wami znowu, dzieci!

Boletta biegnie do ogrodu na jego spotkanie. Jak to dobrze, żeś już wrócił, ojczulku!

Hilda schodzi również do ogrodu. Wolnyś już na cały dzień, papo?

Wangel. Nie, muszę jeszcze później wpaść na kilka chwil do biura... Nie wiecie, czy Arnholm już przyjechał?

Boletta. Tak, przyjechał jeszcze w nocy. Posłałyśmy do hotelu.

Wangel. Nie widziałyście go więc jeszcze?

Boletta. Nie, ale spodziewamy go się jeszcze dziś rano.

Wangel. Przyjdzie niezawodnie.

Hilda prowadzi go do werandy. A teraz zobacz, jak tu wygląda, papo.

Wangel zagląda. Widzę, dzieci... bardzo okazałe.

Boletta. Czy nie przystroiliśmy ładnie werandy?

Wangel. Owszem, nie śmiałym przeczyć... Czy... czy... jesteśmy sami w domu?

Hilda. Tak! wybrała się do...

Boletta przerywa jej. Mama poszła się kąpać.

Wangel rzuca jej dziękczynne spojrzenie i pyta z niejakim wahaniem. Czy te kwiaty zostaną tu przez cały dzień i ta flaga?

Hilda. Oczywiście! To się rozumie!

Wangel. No tak... ale widzicie...

B. letta. Domyślasz się chyba, ojczulku, że to wszystko przygotowaliśmy ze względu na spodziewanego gościa. Na przyjęcie tak serdecznego przyjaciela, który cię ma po raz pierwszy odwiedzić...

Hilda śmieje się i tręca go. Pomyśl tylko, to przecie byli nauczyciel Boletty!

Wangel półśmiechnięty. Chytre z was stworzenia... Mój miły Boże, w zasadzie, to rzecz jasna, że wracamy myślami do tej, co nas pożegnała na zawsze. Ale mimo to... zanieś to, Hildo oddaje jej torebkę do biura... Nie dzieci, nie pochwalam tego. To błędna droga. Rok rocznie, tak... Trudna rada! Nie poradzimy na to...

Hilda zabiera się do odejścia, odwraca się jednak i daje znak ręką. Nadchodzi jakiś pan. To pewnie Arnholm.

Boletta patrzy ku nadchodzącemu. Ten? A to pomysł! Ten pochylony człowieczek, to Arnholm!

Wangel. Poczekajcie no, dziewczęta. Tak! jak mi Bóg miły, to on! To z pewnością on!

Boletta zdumiona wpatruje się w przychodnia. Tak; to zdaje się on!

SCENA VI.

Ci sami i kierownik szkoły: Arnholm w wykwintnym rannym stroju, w złotych okularach, z cienką laską i torebką podróżną w ręku zjawia się na drodze, na lewo. Wygląd jego zdradza niejako zmęczenie. Spozatrząwszy stojącą na werandzie rodzinę Wangelów, k'ania się uprzejmie i wchodzi furtką do ogrodu.

Wangel wychodzi na jego spotkanie. Witam, panie kierowniku! Z całego serca witam w starych progach!

Arnholm. Witam, witam, panie doktorze! Ścisnąc sobie ręce i idąc razem ku werandzie. A to panienki... Podaje im ręce i mierzy je wzrokiem. Nie rychłobym je poznał...

Wangel. Oczywiście... spodziewam się.

Arnholm. Choć... może... Boletkę byłbym poznał.

Wangel. Wątpię; z ośm lub dziewięć lat upłynęło od czasu, gdyś ją pan ostatni raz widział. Wiele zaszło zmian od tego czasu...

Arnholm rozgląda się w okół. Dotąd nie spostrzegłem ich... krom drzew, które sporo podrosły i altany, której przedtem nie było.

Wangel. Nie mam na myśli zmian zewnętrznych...

Arnholm z uśmiechem. A przytem panienki posunęły się też zwawo w górę; prawdziwe panny na wydaniu.

Wangel. Chyba nie obie jeszcze. Ale choź pan na górę, na werandzie znacznie chłodniej. Proszę...

Arnholm. Dzięki, dzięki. Wychodzą na werandę.

Wangel wskazuje Arnholmowi krzesło na bujanach. Tak... proszę się teraz rozgościć i wytchnąć trochę. Podróż dała się panu we znaki, jak widzę.

Arnholm. To nic. Spodziewam się, że tu, w okolicy...

Boletta do Wangel. Przygotuję w pokoju sodową wodę i sok, tu wnet będzie za gorąco.

Wangel. Owszem, moje dzieci. Podaj nam wodę z sokiem i trochę koniaku.

Boletta. Koniak także?

Wangel. Niewiele, ale przynieś, może ktoś zażąda.

Boletta. Dobrze. Hildo, zanieś wreszcie torebkę do biura. Wchodzi do narożnego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Hilda oddala się z torebką w głąb ogrodu na lewo

SCENA VII.

Arnholm i Wangel.

Arnholm śiega spojrzaniem Boletkę. To zaiste wspaniała... wspaniała dziewczęta u pana wyrosły, doktorze.

Wangel siada. Nieprawdaż?

Arnholm. Boletta jest wprost olśniewająca. Hilda również... A coź pan, kochany doktorze? Zamierzasz spędzić tu całe życie?

Wangel. Ach tak, zanosi się przynajmniej na to. Spędziłem tu tyle chwil szczęśliwych u boku tej, co nas tak prędko opuściła. W czasie ostatniego pobytu pana u nas żyła jeszcze...

Arnholm. Tak... tak...

Wangel. A teraz jestem szczęśliwy z tą, która zajęła miejsce tamtej. Muszę doprawdy przyznać, że los mi zawsze był przyjaznym.

Arnholm. Z drugiego małżeństwa nie masz pan dzieci?

Wangel. Przed dwoma laty urodził się nam chłopak. Ale niedługo zabawił na ziemi, zmarł po trzech, czy czterech miesiącach.

Arnholm. Czy żony pańskiej niema dziś w domu?

Wangel. Owszem; wnet nadejdzie. Poszła się kąpać, jak codziennie, bez względu na pogodę.

Arnholm. Czyni to zapewne ze względu na zdrowie?

Wangel. O, nie. Jest zupełnie zdrową, choć w ostatnich kilku latach nerwy jej nieznośnie dokuczają. Nie mogę, mimo wysiłku, rozpoznać przyczyny tego stanu. Ale woda jest jej najulubieńszym żywiołem; rozkoszuje się nią, jak niczem w życiu.

Arnholm. Przypominam sobie to jeszcze z dawnych lat.

Wangel. z niedostrzegalnym prawie uśmiechem. Znasz pan jeszcze Ellidę z owego czasu, gdyś był nauczycielem w szkole wiejskiej w Skjoldvik.

Arnholm. Oczywiście. Zaglądała często na probostwo, widywałem ją też, ilekroć odwiedzałem jej ojca na latarni morskiej.

Wangel. Wierzą mi pan, że lata spędzone z ojcem na latarni głębokie w niej wyryły ślady. Nazywają ją też »kobietą morską«.

Arnholm. Doprawdy?

Wangel. Tak. Przypomnij jej pan dawne lata, kochany panie Arnholm. Będzie z tego bardzo rada.

Arnholm patrzy nań z powątpiewaniem. **Ma pan jakieś podstawy do takiego przypuszczenia?**

Wangel. Mam — naturalnie.

Głos Ellidy dochodzi z prawej strony, z ogrodu. **Toś ty, Wangel?**

Wangel wstaje. **Tak, najdroższa!**

SCENA VIII.

Ci sami i pani Ellida Wangel, która się zjawia wśród drzew obok altany. Na plecy ma narzucony wielki, lekki szal, a wilgotne włosy zwisają jej na plecy.

Arnholm wstaje.

Wangel uśmiechnięty wyciąga ku niej rękę. **Otóż i kobieta morska!**

Ellida zdąża szybkim krokiem ku werandzie i chwyta jego rękę. **Chwałaż Bogu, że cię widzę. Kiedyś wrócił?**

Wangel. Niedawno... Wskazuje jej Arnholma. **Dlaczegoż nie powitasz starego znajomego?**

Ellida podaje rękę Arnholmowi. **To pan! Witam serdecznie! Wybacz pan, że nie byłam w domu.**

Arnholm. Proszę, proszę mną się nie kępować...

Wangel. Czy woda była dziś dość świeża?

Ellida. Czy była świeża? Ona tu nigdy nie jest świeża. Taka jakaś mdła i obezwładniająca. Woda jest w tutejszych fjordach wprost chora.

Arnholm. Chora?

Ellida. Tak, chora. I czuję, że wsącza w kąpiących się chorobę.

Wangel uśmiechając się. **Ładnie polecasz nasze miejsce kąpielowe.**

Arnholm. Według mnie, szanowna pani, te wrażenia płyną z osobliwego pani stosunku do morza i do wszystkiego, co jego jest.

Ellida. Być może... i ja tak nieraz myślę... Ale patrz pan, jak dziewczęta na pańskie przyjęcie wszystko przystroiliły.

Wangel zakłopotany. Hm!.. Patrzy na zegarek. Będę musiał wnet...

Arnholm. Czy to doprawdy na moje przyjęcie?

Ellida. Oczywiście, nawet pan nie wątp. Nie codziennie pozwalamy sobie na podobny zbytek. Ach! jakie tu nieznośne gorąco. Schodzi do ogrodu. Chodźcie tu! tu budzi się od czasu do czasu przynajmniej jakiś chłodniejszy wietrzyk. Siada w altance.

Arnholm idzie za nią. Tu istotnie chłodno.

Ellida. Pan przywykł do parnej atmosfery stolicy. Opowiadają, że tam w lecie jest upał nie do zniesienia.

Wangel zeszedł również do ogrodu. Hm... będziesz musiała trochę sama bawić naszego gościa...

Ellida. Masz jakieś zajęcia?

Wangel. Muszę zejść na chwilę do biura, przymem chciałbym się też przebrać. Ale nie zabawię długo...

Arnholm siada obok Ellidy. Tylko się nie krępuj moją obecnością, kochany doktorze. Znajdziemy dość tematów na pogawędkę.

Wangel. Nie wątpię... Do widzenia więc. Oddala się w tylną część domu.

SCENA IX.

Ellida, Arnholm.

Ellida przerywa chwilowe milczenie. Prawda, że tu wygodnie siedzieć?

Arnholm. Prawda, że tu wygodnie siedzę.

Ellida. Tę altanę nazywają moją, bo ją kazałam tu postawić, a raczej Wangel kazał ją dla mnie sporządzić.

Arnholm. Tu więc pani najchętniej przesiaduje?

Ellida. Spędzam tu całe niemal dni.

Arnholm. W towarzystwie paniek zapewne?

Ellida. Nie, one obrały sobie za siedzibę werandę.

Arnholm. A Wangel sam?

Ellida. On krąży to tu, to tam. Zaglądnie na chwilę do mnie, potem do nich i tak wciąż.

Arnholm. Czy pani w ten sposób ułożyła stosunki?

Ellida. Sądzę, że uczyniłam to ku zadowoleniu obu stron. Możemy zresztą ze względu na małe oddalenie porozumiewać się nawzajem, jeśli się zdarzy, że mamy sobie coś do oznajmienia.

Arnholm siedzi chwilę zatopiony w myślach. Sporo już czasu upłynęło, gdy się ostatni raz pojawił na drodze pani. Było to w Skjoldvik.

Ellida. Dziesięć lat minęło od pobytu pańskiego tam, u nas.

Arnholm. Tak, niespełna lat dziesięć. Jak to pani rysuje mi się na tle tej latarni morskiej!.. Postać tej poganki, jak panią ksiądz nazwał, bo ojciec panią kazał ochrzcić jakimś morskim, a nie chrześcijańskim imieniem...

Ellida I cóż dalej?

Arnholm. Nigdybym sobie nie był wyobraził, że ujrzę panią kiedyś w roli pani Wangel.

Ellida. Wtedy też Wangel nie był... Wtedy żyła jeszcze pierwsza matka dziewcząt, ich matka prawniwa...

Arnholm. Tak... tak... ale choćby i Wangel był wtedy wolnym, nie byłbym nigdy przypuszczał, że to się stanie.

Ellida. Ani ja. Nigdy w życiu... wtedy nie sądziłam, że tak się stanie.

Arnholm. Wangel to zaiste poczciwy, poważny, pełen dobroci i szlachetności człowiek.

Ellida ciepłym, serdecznym głosem. Tak! tak! to wszystko prawda!

Arnholm. Ale mimo to — zdaję mi się — że dziela go od pani światy café.

Ellida. Nie myli się pan...

Arnholm. Skądże do tego przyszło? Jak się zdzierzgnął ten związek?

Ellida Ach, kochany panie, nie pytaj mnie o to. Nie umiałabym się nawet z tego tłumaczyć. A gdybym nawet chciała, nie zdołałabym sobie, ni innym zdać sprawę.

Arnholm. Hm... Ciszzej. Czyś pani kiedykolwiek zwierzała się przed mężem z swojego do pani stosunku? Wspominała mu pani o kroku, który w nagłym porwaniu zrobiłem?

Ellida. Ależ nie! Skąd pan możesz nawet przypuszczać! Nie wspominałam mu nigdy o tem, co pan tak troskliwie ubierasz w słowa...

Arnholm. To mię ciszy... Bo myśl, że mąż pani jest wtajemniczony, nie byłaby mi zbyt miłą.

Ellida. Możesz pan być spokojny. Opowiadałam mu tylko — zgodnie z prawdą — że pana bardzo ceniłam, że byłeś mi najwierniejszym przyjacielem z owych lat.

Arnholm. Dziękuję pani. Ale dlaczegoż mi pani ani razu nie napisała?

Ellida. Lękałam się, że panu sprawi przykrość, pozostawać w styczności z tą... która nie mogła spełnić pańskich życzeń. Lękałam się bolesnego wrażenia, drażnienia niedawnych ran.

Arnholm. Hm... hm... może i pani ma stusznosc.

Ellida. A czemuż pan nigdy nie pisał?

Arnholm patrzy na nią i uśmiecha się z wyrzutem. Ja? Ja miałem uczynić pierwszy krok? Narazić się na podejrzenie, że pragnę do dostaniu odprawy nawiązać znowu zerwane nici?

Ellida. Ależ nie... rozumiem zresztą pana... Czyś pan później nigdy nie myślał, by się oglądnać za nowymi stosunkami?

Arnholm. Nigdy. Pozostałem wierny wspomnieniu.

Ellida półzartem. Ależ co! Porzucił pan stare, smutne

wspomnienia. Powinieneś pan raczej pomyśleć o tem, by zawinać do jakiegoś szczęśliwego portu małżeńskiego.

Arnholm. Musiałoby to jednak bardzo rychło nastąpić, bo — rumienię się na tę myśl — mam już za sobą trzydziesty siódmy rok.

Ellida. Tem bardziej winien się pan śpieszyć. Mileży przez chwilę, potem mówi głosem poważnym, przytłumionym. A teraz powiem panu coś... coś, czego bym nie była wówczas ze siebie wydobyła, nawet za cenę życia.

Arnholm. Mianowicie?...

Ellida. Gdyś pan wówczas uczynił ten krok, o którym przed chwilą wspominałeś, nie mogłam wtedy panu innej dać odpowiedzi jaką otrzymałeś.

Arnholm. Wiem... Nie mogłaś mi pani nic ofiarować — krom przyjaźni siostrzanej. O tem wiem.

Ellida. Ale nie wiesz pan zapewne, że w tym czasie wszystkie me myśli i pragnienia i tęsknoty do innego należały.

Arnholm. W tym czasie?!

Ellida. Tak! Wtedy właśnie!

Arnholm. Ależ to niepodobieństwo! Zawodzi panią pamięć. Sądzę, że pani o tym czasie Wangla prawie że nie znała.

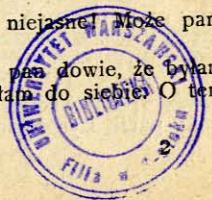
Ellida. Nie mówię o Wanglu.

Arnholm. Nie o nim? Nie mogę sobie żadną miarą przypomnieć, by wtedy w Skjoldvik bawił choć jeden człowiek, do którego by pani mogła się była zbliżyć.

Ellida. Tak, tak, pamięć pana nie zawodzi. Bo też to całe było głupie, głupie, co mię mało nie popchnęło w ramiona szału.

Arnholm. Jakie to wszystko niejasne! Może pani wyjaśnić te ciemności?

Ellida. Wystarczy, jeśli się pan dowie, że byłam wtedy związana, że nie należałam do siebie. O tem pan wiedz.



Arnholm. A gdybyś wówczas nie była związaną?

Ellida. Cóż tedy?

Arnholm. Czy byłbym otrzymał na mój list odpowiedź odmiennej treści?

Ellida. Mógłbyś teraz na to odpowiadać? Gdy Wangel się zjawił, nie miałam wątpliwości.

Arnholm. Pocóż mi pani opowiada, żeś była związaną?

Ellida wstaje strwożona i zaniepokojona. Bo muszę mieć człowieka, któremubym się zwierzyła.

Arnholm chce również wstać.

Ellida. Zostań pan! Nie odchodź...

Arnholm siada. Mąż więc nic o tem nie wie?

Ellida. Wyznałam mu w pierwszej zaraz chwili, że myślami należę gdzieś indziej. Więcej nie pragnął wiedzieć. To była jedyna nasza o tem rozmowa. W zasadzie też był to jeno szaf, który niebawem minął... w zupełności niemal.

Arnholm zdziwiony. Niemal? Więc pozostały jeszcze ślady?

Ellida. Oczywiście... Mój miły panie, rzecz się ma nie tak, jak ją sobie wyobrażasz. To coś niepojętego, co się nie da ująć w słowa. Będziesz pan w tem upatrywał objawy choroby, lub pomieszania zmysłów.

Arnholm. Wobec tego nie ukrywaj pani dłużej tego, lecz mów otwarcie.

Ellida. Tak! Będę się starała. Pan to może jako człowiek rozsądny rozjaśni cokolwiek. Patrzy na lewo i urywa. Musimy odroczyć. Mamy gości...

SCENA X.

Ci sami i Lyngstrand, który nadchodzi drogą, na lewo i wchodzi furką do ogrodu. W butonierce ma kwiat, a w ręku wielki piękny bukiet, owinięty papierem. Staje na werandzie i rzuca wokół niepokojne spojrzenia.

Ellida wychodzi z altany. Przyszedł pan odwiedzić panią, panie Lyngstrand?

Lyngstrand odwraca się. Łaskawa pani w altanie? Kłania się i idzie ku altanie. Nie, nie panią. Chciałem złożyć uszanowanie łaskawej pani, stosownie do otrzymanego pozwolenia.

Ellida. Proszę, proszę bardzo... Witam serdecznie...

Lyngstrand. Serdecznie dziękuję... Korzystając zaś ze sposobności, że w domu państwa dziś uroczystość...

Ellida. Wie pan o tem?

Lyngstrand. Tak, łaskawa pani — pozwolę sobie ofiarować pani te kwiaty. Podaje z ukłonem bukiet.

Ellida z uśmiechem. Dziękuję... ale ostatecznie byłoby najstosowniej, gdyby pan tymi pięknymi kwiatami obdarzył pana kierownika Arnholma. On bowiem właśnie dziś...

Lyngstrand spogląda na oboje niepewnym wzrokiem. Przepraszam, lecz tego pana wcale nie znam. Ośmieliłem się tylko... ze względu na urodziny szanownej pani.

Ellida. Urodziny? Toś pan w błędzie, panie Lyngstrand. Dziś nikt z nas nie obchodzi urodzin.

Lyngstrand uśmiecha się, jakby czegoś się domyślając. Rozumiem już... Nie wiedziałem, że to osłonięte tajemnicą...

Ellida. Co?

Lyngstrand. Że pani święci dziś dzień... swych urodzin.

Ellida. Ja?

Arnholm patrzy na nią pytająco. Dziś? Nie, to nie dziś. **Ellida** do Lyngstranda. Skądże pan czerpie takie wiadomości?

Lyngstrand. Panna Hilda zdradziła mi tajemnicę. Zglądnałem tu dziś rano i na widok przygotowań... kwiatów i flag, pytałem o przyczynę...

Ellida. I cóż?

Lyngstrand. Otrzymałem odpowiedź od panny Hildy: że dziś mamy urodziny.

Ellida. Mamy!... Tak?!

Arnholm. Tak!

Elida i Arnholm porozumieli wają się wzrokiem.

Arnholm. Skoro tedy ten pan o tem wie...

Elida do **Lyngstranda.** Tak.. skoro pan już wie...

Lyngstrand podaje jej po raz wtóry bukiet. Pozwoli mi pani złożyć życzenia...

Elida przyjmuje kwiaty. Dziękuję serdecznie... Może pan trochę posiedzi z nami w altanie?

Siadają wszyscy troje w altanie.

Elida. To zdarzenie... urodziny moje, miały być osłonięte tajemnicą, panie kierowniku.

Arnholm. Domyślam się. To tylko dla wtajemniczonych.

Lyngstrand. Jeśli chodzi o tajemnicę, to nie zdradzę jej z pewnością nikomu.

Elida. To drobnostka... Ale jakże pan się czuje teraz? Zdaje mi się, że pan zdrowiej już wygląda, jak dawniej?

Lyngstrand. Czuję, że mi zwolna sił przybywa. Spodziewam się, że do najbliższego lata, które mam nadzieję spędzić na południu...

Elida. Słyszałam o tem od dziewcząt.

Lyngstrand. Mam w Bergen bogatego znajomego, który mię otoczył opieką i przyrzekł, że mi na przyszły rok dopomoże do wyjazdu do Włoch.

Elida. Jakże to zdobywa się takich dobrodziei?

Lyngstrand. To był dla mnie nader pomysłny zbieg okoliczności. Znajdowałem się mianowicie przez pewien czas na jednym z jego statków.

Elida. To już wtedy pan lubiłeś morze?

Lyngstrand. O nie, bynajmniej. Ale po śmierci matki ojciec nie pozwolił mi próżniaczyć i oddał na statek. W drodze powrotnej statek nasz rozbił się na kanale. I to stało się źródłem moich pomysłności.

Arnholm. Co? Czemu pan to przypisuje?

Lyngstrand. Podczas rozbicia wpadłem do wody i nabawiłem się choroby. Gdy mię z lodowatych fal

wydobyto, nie byłem już zdolny do służby na okręcie. Odtąd też datuje się moje szczęście.

Arnholm. Czy istotnie?

Lyngstrand. Tak. Bo choroba nie była zbyt groźną i umożliwiła mi zostać rzeźbiarzem, czego tak namiętnie pragnę. Pomyśl pan tylko mózdz tworzyć nowe kształty, wlewać duszę w martwe tworzywo...

Elida. I cóż pan zamierza tworzyć? Kobiety lub inne twory morskie? Czy może legendowych Wikingów?

Lyngstrand. Nie, do tego nie czuję upodobania. Gdy przystąpię do pracy, rozpocznę od większego dzieła. Będzie to coś w rodzaju grupy.

Elida. Cóż ona będzie przedstawiać?

Lyngstrand. Coś co sam przeżyłem.

Arnholm. Słusznie, to najlepsze pole dla artysty.

Elida. Cóż to będzie przedstawiało?

Lyngstrand. Tworzę sobie w myśli młodą kobietę, żonę żeglarza, która leży w niespokojnym pogrążona śnie. Nawiedzają ją też senne widziadła. Usiłowałbym odtworzyć te właśnie wrażenia, jakie wywołają w niej widziadła.

Arnholm. I poza tem nic?

Lyngstrand. I jeszcze druga postać: mąż owej kobiety, którego ona zdradziła w czasie jego nieobecności. I on utonął w morzu.

Arnholm. Utonął?

Lyngstrand. Tak, morze go pochłonęło. Ale, co najdziwniejsze, że on mimo to wraca do domu... Gdy w przyrodzie panuje noc i ciemności nieprzebite, staje u jej łóżka i wpatruje się w nią. Cieknie zeń strumieniami woda, jak z topielca wydobytego z morza.

Elida opiera się o poręczę ławki. To doprawdy rzecz niezwykła. Przymyka oczy. Widzę tę scenę, jakby żywą przed oczyma.

Arnholm. Ależ kochany panie, mówił pan, że od-
tworzysz wydarzenie, któreś sam przeżył?

Lyngstrand. Tak, tak, przeżyłem też to... do pe-
wego niejako stopnia.

Arnholm. Był pan świadkiem, jak człowiek po uto-
nieniu...

Lyngstrand. Nie byłem świadkiem w codziennem
tego wyrazu znaczeniu. To było zdarzenie, które się
nie rozgrywa przed oczyma wszystkich...

Ellida żywo zainteresowana. Opowiedz pan wszystko!
Dokładnie i szczegółowo. Pragnę wszystko wiedzieć.

Arnholm uśmiecha się. To coś dla pani. Nastroje
morskie.

Ellida. Opowiadajże pan, panie Lyngstrand.

Lyngstrand. Rzecz się miała tak. Gdyśmy po roz-
biciu okrętu wracali do domu, musiano sternika
zostawić w szpitalu w jednym z nadbrzeżnych miast.
Jego miejsce zajął pewien Amerykanin. Ten nowy
sternik...

Ellida. Ów Amerykanin.

Lyngstrand. Tak. Otóż on pożyczył jednego dnia
od kapitana stos starych gazet, które i chciwie i czę-
sto czytywał. Mawiał, że chce czytać po norwesku.

Ellida. I cóż dalej?

Lyngstrand. Jednego wieczera szalała gwałtowna
burza. Wszystko zgromadziło się na pokładzie, krom
mnie i sternika. On skaleczył sobie nogę i nie mógł
pełnić swych czynności, a ja byłem trochę niezdrow.
Siedzieliśmy tedy obaj w kajucie. Amerykanin był
zatopiony w starych gazetach...

Ellida. I cóż?!

Lyngstrand. Nagle ciszę przerwał pomruk. Podnio-
łem nań wzrok i spostrzegłem, że twarz jego staje
się trupio-błądą. Po chwili chwycił gazetę i począł
ją szarpać i targać na małe kawałki. A czynił to
wszystko z dziwnym, strasznym spokojem.

Ellida. Nie mówił nic? Czynił to w milczeniu?

Lyngstrand. Milczał długą chwilę. Potem cedził:
Wyszła za męż... za innego, gdy ja się tulałem na
morzu.

Ellida przyrymka oczy i mówi półgłosem. To były jego
słowa?

Lyngstrand. Tak. A co najdziwniejsze, mówił to
biegle po norwesku. Musiał z niebywałą łatwością
uczyć się obcych języków.

Ellida. Cóż się stało potem?

Lyngstrand. Potem stała się rzecz niezwykła, coś,
czego nigdy nie zapomnę. Mówił mianowicie dalej,
tym samym lodowatym, jednostajnym głosem: Ale
moją ona jest i moją pozostanie. I za mną pójsć
musi, choćbym jako topielec z ciemnej się wydobył
toni i dawał jej znaki...

Ellida nalewa sobie drżącą ręką wodę do szklanki. Ach jak
dziś parno!

Lyngstrand. A w jego słowach taka była moc woli,
że uwierzyłem w spełnienie się słów jego.

Ellida. Ma pan jakie wieści o późniejszych jego
losach?

Lyngstrand. Ach, szanowna pani, on już pewnie
nie żyje.

Ellida Z czego pan to wnosi?

Lyngstrand Niedługo po naszym rozbiciu się, wy-
wróciła się łódź, na której znajdował się z kilku
innymi.

Ellida. I oni wszyscy przepadli?

Lyngstrand. Wszelka wieść o nich zaginęła. Doniósł
mi o tem niedawno właściciel statku. I właśnie dla-
tego marzę o upamiętnieniu tej chwili. Widzę jak
żyją przed sobą ową wiarołomną kobietę i jej mści-
wego męża, co wraca z topieli morskiej, by się upo-
mnąć o swe prawa. Widzę ich wyraźnie.

Ellida. Widzę ich także. Wstaje. Chodźmy do pokoju.

Albo raczej do biura Wangła. Tu taka duszna parność. Wychodzi z altany.

Lyngstrand podnosi się również. Ja państwo muszę pożegnać. Chciałem tylko pani dobrodziejce powinszować.

Ellida podaje mu rękę. Serdecznie dziękuję za... życzenia i kwiaty.

Lyngstrand kłania się i wychodzi z ogrodu furtką na lewo.

SCENA XI.

Ellida. Arnholm.

Arnholm Wstaje i zbliża się do Ellidy. Widzę, że pani dała się porwać fali wrażeń.

Ellida. Umiął pan nazwać, co czuję.

Arnholm. Nawiasem jednak mówiąc, powinna pani była być na to przygotowaną.

Ellida zdziwiona. Przygotowaną?!

Arnholm. Zdaje mi się.

Ellida. Na to przygotowaną, że on wróci! W taki okropny sposób!

Arnholm. Ależ na Boga! Jeszcze pani nie zapomniała tej zwaryowanej historii pana rzeźbiarza?!

Ellida. Ona może nie jest tak bardzo zwaryowaną.

Arnholm. Więc ta baśń o topielcu tak bardzo panią poruszyła? A ja sądziłem, że to...

Ellida. Co?...

Arnholm. A ja sądziłem, że w pani odezwały się inne uczucia, że panią dotknęło to, że bez udziału pani urządzono tu uroczystość, że mąż pani i jego dzieci obchodzą święto wspomnień dla pani obce i obojętne.

Ellida. O nie, o to się nie troszczę. Nie mam zresztą prawa do wypełnienia sobą całej treści życia mego męża.

Arnholm. Przypuszczam jednak, że je pani sobie rości.

Ellida. Nie. Bynajmniej. Ja zresztą mam także kącik duszy, do którego inni nie mają przystępu.

Arnholm. Pani?! Ciszey. Co te słowa znaczą? Pani... pani... przecie męża kocha?

Ellida. Owszem... zdołałam go ukochać całą duszą! I dlatego właśnie stoję wobec tak strasznej, niezrozumiałej dla mnie samej zagadki!

Arnholm. Musi mi się pani ze wszystkiego zwierzyć! Czy mi pani odmówi?

Ellida. Nie mogę, choć wierzę w przyjaźń pana. Na razie przynajmniej — to niepodobieństwo. Może kiedyś później.

SCENA XII.

Ci sami. Bolet'a, potem Wangel i Hilda.

Bolet'a wychodzi z pokoju i przez werandę schodzi do ogrodu. Ojciec wychodzi z biura. Zostaniemy może na werandzie?

Ellida. Dobrze, owszem.

Wangel przebrany; nadchodzi z tylnej części domu z Hildą. Noo! Jestem nareszcie wolny! Za szklanekę czegoś zimnego dałbym teraz wiele.

Ellida. Poczekaj chwilę. Wracę do altany i bierze bukiet ze stołu.

Hilda. Co za piękne kwiaty!! Skąd się one tam wzięły?

Ellida. Ofiarował mi je rzeźbiarz Lyngstrand, moja kochana.

Hilda zdziwiona. Lyngstrand?

Bolet'a niespokojnie. Lyngstrand był tu znowu?

Ellida na pół uśmiechnięta. Tak. Odwiedził mię z okazji... urodzin...

Bolet'a rzuca Hildzie ukradkiem spojrzenie. O! O!

Hilda półgłosem. Bałwan!

Wangel niemile tem zająściami zakłopotany. Hm... widzisz, moja droga... Ellido... to właściwie...

Ellida przerywając mu. Chodźmy więc, dzieci! Kwiaty musimy umieścić w wodzie. Idzie ku werandzie.

Wangel idzie za nią powolnym krokiem.

Boletta do Hildy. Ona doprawdy nie taka zła...

Hilda cichym, podrażnionym głosem. To nędzna kounedya! Pragnie sobie ojca ująć!

Wangel ścisła na werandzie rękę Ellidy. Dzięki ci, dzięki serdeczne, Ellido!

Ellida umieszcza bukiet. Et co!... Czy i ja nie mogę się czemś przyczynić do uświetnienia... urodzin mamy?

Arnholm. Hm!... Wchodzi na werandę.

Boletta i **Hilda** zostają w ogrodzie.

AKT DRUGI.

Polana wśród gór, za miastem, okolona krzakami i zaroślami. U wejścia chorągiew lekko poruszana wiatrem. Na polanie liczne kamienie, służące do siedzenia. Daleko, w tyle sceny widny kraniec fiordu, wybrzeża wysepek i zrab ładu. Noc letnia, bezkiszycowa. Zaróżwione lekko niebo, kładzie żółtawo-czerwonawy odblask na fiord i ład okoliczny. Ze wzgórz, ze strony prawej sływa odgłos cichego śpiwru na cztery głosy.

SCENA I.

Młodzież miejska, żeńska i męska nadchodzi z prawej strony i mijają wśród rozmowy polanę, przechodząc drogą na lewo. Niebawem zjawia się **Ballested** w roli przewodnika zagranicznego grona turystów; dzwiga różnorodne okrycia i torby podróżne. Potem **Boletta** i **Hilda**.

Ballested wskazuje laską ku górze. Tam w górze, proszę państwa, jest jeszcze jedna polana. Wydobędziemy się i tam... Mówi dalej łamaną francuszczyzną i znika wraz z turystami na lewo.

Hilda nadchodzi szybkim krokiem ze strony prawej i ogląda się za siebie.

Boletta nadchodzi po chwili tą samą drogą. Ależ najdroższa, czemuśmy uciekły od **Lyngstranda**?

Hilda. Bo nie znoszę takiego żółtawego chodzenia po górach. Popatrz jak on się wlecze.

Boletta. Wiesz przecie, jaki on chory.

Hilda. Sądziś, że jego choroba jest niebezpieczną?

Boletta. Oczywiście: jest poważnie chory.

Hilda. Był popołudniu u ojca, ciekawam jaką postawił dyagnozę.

Boletta. Mówił mi ojciec, że płuca jego nie są w porządku. Nie rokuje mu zbyt długiego życia.

Hilda. Doprawdy?! Pomyśl sobie, myślałam jota w jota to samo.

Boletta. Ale na Boga, nie zdradzaj mu nic z tego!

Hilda. Co też ty mówisz.. Półgłosem. Nareszcie się przywłóki! Po chodzie go poznać...

Boletta szeptem. Zachowuj się przyzwoicie... radzę ci.

SCENA II.

Ci sami i **Lyngstrand** schodzi z parasolem w ręku z pagórka na prawo.

Lyngstrand. Muszę panie przeprosić, żem nie mógł nadążyć.

Hilda. Zdobył pan po drodze parasol?

Lyngstrand. Dostałem od matki pań. Kazała mi go użyć zamiast laski, której nie miałem przy sobie.

Boletta. Czy zostali jeszcze na dole? Ojciec i reszta...

Lyngstrand. Tak. Ojciec wszedł do restauracji a reszta siedzi na dworze i słucha muzyki. Potem przyjdą na górę.

Hilda stoi, wpatrując się weń. Bardzo pan zmęczony?

Lyngstrand. Jestem cokolwiek zmęczony, muszę odetchnąć. Siada na kamieniu u przodu sceny po prawej stronie.

Hilda stoi przed nim. Czy wie pan, że później będą tańce przy muzyce?

Lyngstrand. Tak. Słyszałem, jak o tem mówiono.

Hilda. Tańczy pan chętnie?

Boletta szukając kwiatów wśród gąszczów. Hildo, dajże panu **Lyngstrandowi** odetchnąć.

L yngstrand do Hildy. Tańczyłbym chętnie, proszę pani, gdybym tylko mógł.

Hilda. Nie umie pan?... Nie uczył się pan tego?

L yngstrand. Nie uczyłem się. Ale nie to miałem na myśli. Nie mogę tańczyć ze względu na zdrowie.

Hilda. To pamiątka po owem rozbiciu?...

L yngstrand. Właśnie, to od tego czasu.

Hilda. Czy pana bardzo smuci myśl o tej chorobie?

L yngstrand. O nie, nie bardzo. Uśmiecha się. Z wdzięcznością też wiele swoim znajomym, którzy są dla mnie tak uprzejmi, współczujący i delikatni.

Hilda. A zresztą to nie takie niebezpieczne.

L yngstrand. Niebezpieczeństwa zgola niema, o ile rozumiałem ojca pani.

Hilda. Pozbędzie się pan całego kłopotu, gdy odbędziesz ową podróż na południe.

L yngstrand. Obiecuję sobie wiele po tej wyprawie.

Boletta z pękiem kwiatów w ręku. Ten kwiat umieści pan w butonierce, panie L yngstrand.

L yngstrand. Stokrotne dzięki... nie zasłużyłem do prawdy na tyle względów.

Hilda spoglądając na dół. Nadchodzą nasi z dołu.

Boletta patrzy także na dół. Czy też znajdują ścieżkę tu prowadzącą... Ach poszli wprost przeciwną drogą.

L yngstrand wstaje. Pobiegnę na dół i zwołałam ich.

Hilda. To musi pan chyżo biec.

Boletta. Szkoda pańskich sił, zmęczy się pan znowu.

L yngstrand. O, droga na dół nie sprawia mi trudności. Odchodzi na prawo.

SCENA III.

Boletta. Hilda.

Hilda ściga wzrokiem odchodzącego L yngstranda. Popatrz jak pędzi! Zapomniał, że się musi tu jeszcze raz wdrapać.

Boletta. Biedak...

Hilda. Gdyby się L yngstrand starał o ciebie, przyjąłabyś go?

Boletta. Zwaryowałaś?

Hilda. Pomijam oczywiście jego chorobę i to, że śmierć na niego czyha... Czy wyszłabyś wówczas za niego?

Boletta. Sądzę, że byłby odpowiedniejszym dla ciebie.

Hilda. Nie. Nie zostalabym nigdy jego żoną. Nic nie posiada przecie, ani nawet tyle, by siebie samego mógł wyżywić.

Boletta. Dlaczegoż jesteś dla niego taka uprzejma?

Hilda. Ze względu na jego chorobę.

Boletta. Nie zauważyłam u ciebie zbyt wiele współczucia dla niego z tego właśnie powodu.

Hilda. To nie współczucie... Ale widzę w tem pewien powab.

Boletta. Co?

Hilda. Przypatrywać mu się i słyszeć od niego, że choroba jego nie jest niebezpieczną... Jego zamiary o podróży na południe i kształcenie się w rzeźbie, wypowiedziane z taką naiwną i radosną wiarą w spełnienie się ich... A przecież to tylko mrzonki, które się nigdy nie ziszczą, bo śmierć go w drodze zaskoczy... Myśl o tem wydaje mi się bardzo powabną.

Boletta. Powabną?!

Hilda. Tak. Znajduję w tem pewien powab.

Boletta. Fe! To wprost potworne, co mówisz!

Hilda. Chcę być potworem! By innym dokuczyć!... Spogląda na dół. Nareszcie! Arnholm by się z pewnością nie wspinał na góry. Odwraca się. Ach właśnie... wiesz com przy obiedzie zauważyła u Arnholma?

Boletta. Co?

Hilda. Pomyśl tylko... zaczynają mu wypadać włosy... na środku głowy.

Boletta. Głupstwa pleciesz! To nieprawda...

Hilda. Owszem. Zauważyłam też, że ma zmarszczki pod oczyma. Jak też ty mogłaś się w nim wówczas kochać, gdy był twym nauczycielem!

Boletta z uśmiechem. Pamiętasz jeszcze? Przypominam sobie, że płakałam pewnego dnia rzewnie, gdy powiedział, że Boletta to brzydkie imię.

Hilda. Tak... tak... Spogląda na dół. Chodź, zobaczysz coś. »Kobieta morska« gawędzi teraz z panem profesorem, o ojcu zapomniawszy. Ciekawam, czy oni oboje mają coś między sobą.

Boletta. Wstydz się! Jak możesz ją posadzać? Stosunki między nami a nią zaczęły się już tak pomyślnie układać...

Hilda. Oczywiście! Naiwnas bardzo! Stosunki między nami a nią nie mogą nigdy pomyślnie się ułożyć. Bo co ona ma z nami wspólnego? Nie wiem doprawdy, po co ją tu ojciec sprowadził... Nie dziwiłabym się też bardzo, gdyby nasza »mama« pewnego dnia dostała pomieszania zmysłów.

Boletta. Pomieszania zmysłów! Skąd ci się takie pomysły biorą?

Hilda. Nie dziwi się tak bardzo! Jej matka tak samo skończyła.

Boletta. Ty o wszystkim musisz wiedzieć. Ale, błagam cię, nie wspominaj o tem nikomu — ze względu na ojca. Pamiętaj...

SCENA IV.

Cl sami i Wangel, Ellida, Arnholm i Lyngstrand; nadchodzą z dołu, na prawo.

Ellida pokazując przed siebie palcem. To tam!

Arnholm. Oczywiście... Gdzieś w tamtej stronic.

Ellida. Tam przed nami leży morze.

Boletta do Arnholma. Prawda, jak tu pięknie?

Arnholm. Wspaniale! Widok bajeczny.

Wangel. Nie był pan tu jeszcze nigdy..

Arnholm. Nigdy. Za moich czasów to miejsce było niedostępne. Nie było nawet ścieżki.

Wangel. Nikt też tam nie zaglądał. Dopiero przed kilku laty odkryto i uprzystępniono tę polanę.

Boletta. Z tamtego wzgórza widok jeszcze rozleglejszy i wspanialszy.

Wangel. Przeniesiemy się może tam, Ellido?

Ellida usiada na kamieniu. Nie, dziękuję. Wolę tu zostać. Ale wy możecie pójść. Poczekam tu na was.

Wangel. Zostanę więc z tobą. Dziewczęta mogą pójść z panem kierownikiem.

Boletta. Masz pan ochotę pójść z nami, panie Arnholm?

Arnholm. Proszę bardzo... Czy i tam wycięto drogę?

Boletta. Oczywiście; i to bardzo wygodną.

Hilda. Droga jest tak szeroka, że dwóch ludzi może swobodnie nią iść obok siebie, ręka w rękę.

Arnholm żartem. Czy doprawdy, panienczko? Do Boletty. Spróbujemy, czy to prawda? Zgadza się pani?

Boletta tłumami uśmiech. Nie mam nic przeciw temu. Chodźmy.

Arnholm i **Boletta** odchodzą na lewo, prowadząc się pod rękę.

Hilda do Lyngstranda. Pójdziemy także?

Lyngstrand. Pod ręką?

Hilda. Czemużby nie? Chodźmy i tak.

Lyngstrand bierze ją za rękę i uśmiecha się z zadowoleniem. To doprawdy wesołe i śmieszne zarazem!

Hilda. Śmieszne?

Lyngstrand. Bo to tak wygląda, jakbyśmy byli parą narzeczonych.

Hilda. Zapewne pan nigdy jeszcze z kobietą nie chodził pod ręką, panie Lyngstrand. Odchodzą na lewo.

SCENA V.

Ellida. **Wangel.**

Wangel stoi u wejścia na polanę. Jesteśmy, Ellido, na kilka chwil sami...

Ellida. Tak; siadaj teraz koło mnie.

Wangel siada przy niej. Cicho tu i swojsko. Teraz pogawędzimy trochę.

Ellida. O czym?

Wangel O tobie i o naszym do siebie stosunku. Czuję, że tak dalek być nie może.

Ellida. A jakże ma być, mój miły?

Wangel. Musi między nami nastać zupełne współzycie i zupełna szczerłość — jak dawniej bywało.

Ellida. Gdybyż to było możliwe! Ale to niepodobieństwo!

Wangel. Zdaje mi się, że cię rozumiem; polegam na niektórych uwagach, które ci się tu i ówdzie wymykały.

Ellida gwałtownie. O nie! Nie mów, że mię rozumiesz!

Wangel. A jednak tak jest... Jesteś kobietą uczciwą, Ellido, i umiesz być wierną uczuciom...

Ellida. Tak — to prawda.

Wangel. Stosunki, wśród których czułaś się zadowoloną i szczęśliwą, musiałyby objąć całą treść twojej duszy.

Ellida patrzy nań zaciekawiona. I cóż dalej?

Wangel. Nie nadajesz się zaś w zupełności na drugą żonę...

Ellida. Co ci nasuwa tę myśl?

Wangel. Powstawała we mnie nieraz niespodzianie, jako przeczucie. Dziś jednak objawiła mi się w całej bezwzględności. To dzisiejsze święto wspomnień moich dzieci... część winy przypisywałaś zapewne i mnie... Bo też nie można tego z serca wypłenić z korzeniem... Ja przynajmniej nie zdołam tego uczynić.

Ellida. Widzę to i wiem dobrze.

Wangel. Jesteś jednak mimo to w błędzie. Zachowujesz się tak, jakby matka moich córek jeszcze żyła, jakby niewidzialna wśród nas przeżywała. Sądzisz, że duszę swą podzieliłem między was dwie,

jedną połową do niej należąc, drugą do ciebie. I to cię niepokoi. Widzisz w naszym stosunku jakieś cienie, coś niewidzialnego. I dlatego nie możesz... nie chcesz, żyć przy moim boku, jako żona i towarzyszka.

Ellida wstając. Gdzieś ty to wszystko wyczytał? Kto ci o tem mówił?

Wangel. Ujrzałem wszystko dziś. Przeniknąłem cię do głębi...

Ellida. Do najtajniejszej głębi — sądzisz? Przesadzasz cokolwiek.

Wangel wstaje. Nie — Bo nie powiedziałem jeszcze wszystkiego.

Ellida strwożona. Czy wiesz jeszcze coś?

Wangel. Tak. Widzę, że okolic tych znieść nie możesz. Skały tutejsze przytłaczają ci umysł; za mało masz światła, za ciasny widnokrąg. Przewstworze za mało pełnią i mocą życia przepojone.

Ellida. Masz słuszność... Dniem i nocą, zimą i latem ściga mię tęsknota za morzem, za jego siną, falującą powierzchnią.

Wangel. Rozumiem cię, Ellido. Kładzie rękę na jej głowę. I dlatego przywrócimy choremu, stęsknionemu dziecku jego niebo i ojczyznę.

Ellida. Nie rozumiem cię...

Wangel. To całkiem proste: Wyruszymy stąd.

Ellida. Stąd?!

Wangel. Wyruszymy gdzieś nad wybrzeża otwartego morza, gdzie będziesz mogła odetchnąć prawdziwym powietrzem morskim, nasycić wzrok beźmiarem wód.

Ellida. O nie myśl o tem nawet, najdroższy! To niepodobieństwo. Tybys nie mógł spokojnie gdzieś indziej żyć.

Wangel. Oto mniejsza... Czy sądzisz, że mię tu czeka spokój — gdy ciebie nie stanie?

Ellida Jestem przecie tu? I jestem twoją?

Wangel. Czy jesteś m o j ą, Ellido?

Ellida. T o zostaw. Masz tu wszystko, czem żyjesz i oddychasz. Wrosłeś tu całym s o b ą.

Wangel. Powtarzam: Mniejsza o to. Wyruszymy stąd, gdziekolwiek nad pełne morze. To postanowienie nieodparte.

Ellida. Jakież, sądzisz, będą z tego korzyści?

Wangel. Odzyskasz zdrowie i równowagę duszy.

Ellida. To wątpliwe... Ale ty? Jakież dla ciebie z tego zysk?

Wangel. Odzyskam ci e b i e, najmilsza!

Ellida. O nie! To niepodobieństwo! I w tem właśnie leży cała groza i nieszczęście naszego położenia.

Wangel. Nie mogę się jednak wyrzec próby. Gdy się tu przejęłaś podobnymi myślami, to jedynie ocalenie przynieść nam może natychmiastowy wyjazd stąd. Tego zamiaru nie wyrzeknę się.

Ellida. Nie! Tego nie uczynisz! Wolę ci już, na miłość Boską, wyznać wszystko.

Wangel. Wyznaj! Błagam cię o to.

Ellida. Bo nie chcę przyłożyć ręki do twego nieszczęścia, zwłaszcza, że to wszystko bezcelowe.

Wangel. Przed chwilą oświadczyłaś mi, że mi wszystko wyznasz — uczyni to.

Ellida. Jestem gotowa... o ile mi sił stanie i słów. Siadaj przy mnie. Siadają na kamieniach.

Wangel. Mówże, Ellido...

Ellida. Owego dnia, gdyś przyszedł do nas, aby mię zapytać, czy chcę i mogę być twoją, opowiedałeś mi z całą otwartością i szlachetnością o swem pierwszym małżeństwie. Nazwałeś je szczęśliwem...

Wangel. Bo też niem było.

Ellida. Nie wątpię. Wspominam o tem dlatego, aby ci przypomnieć, że i ja wówczas byłam szczera. Oświadczyłam ci bez ogródek, że już ukochałam była jednego w życiu, że między nami doszło już było do pewnego rodzaju — zaręczyn.

Wangel. Co to znaczy: pewnego rodzaju?

Ellida. Tak; do pewnego rodzaju. Cały stosunek był bardzo krótkotrwały. On wyjechał, a ja też położyłam wszystkiemu koniec. O tem wszystkim uwiadomiłam cię.

Wangel. Ale, pocóż do tego wracasz? Mało mię to obchodziło i nie pytałem cię nawet o to, kim był ten człowiek.

Ellida. Nie pytałeś... Byłeś zawsze dla mnie bardzo wyrozumiały.

Wangel. No w tym wypadku... Nie trudno mi było się domyśleć, kim on.

Ellida. Mogłeś się domyśleć?!

Wangel. W Skjoldwik i w całej okolicy nie było ich tylu, aby powstać mogły wątpliwości. Mógł nim być jedyny...

Ellida. Wymienisz Arnhołma. Czy nie?

Wangel. Oczywiście... Czy to nie on?

Ellida. Nie.

Wangel. Nie o n? Wobec tego zrzekam się wszelkich domysłów.

Ellida. Czy przypominasz sobie, że raz późną jesienią zarzucił kotwicę w Skjoldwik wielki amerykański statek?

Wangel. Pamiętam dobrze. To ten statek, na którym jednego ranka znaleziono w kajucie zamordowanego kapitana. Ja sam dokonałem wówczas sekcji zwłok.

Ellida. Tak, ty.

Wangel. Za sprawcę zbrodni uważano powszechnie pomocnika sternika.

Ellida. Tego nikt nie wykazał!

Wangel. A jednak to nie ulega wątpliwości. Czemużby się miał utopić, gdy się nie poczuwał do winy?

Ellida. Nie utopił się. Odjechał nazajutrz innym statkiem na północ.

Wangel drgnął. Skąd o tem wiesz?

Ellida z wysiłkiem. Bo... ten sternik... to był mój narzeczony.

Wangel porywa się. Co? Czy to możliwe?

Ellida. Tak — to możliwe. On nim był.

Wangel. Ależ, na Boga, Ellido, jak można być tak nieopatrzną? Z takim się wdawać? Z człowiekiem zupełnie nieznanym!... Jakże się nazywał?

Ellida. Wówczas nazwał się: Friman, a w listach podpisywał się później: Alfred Johnston.

Wangel. Skądże pochodził?

Ellida. Z niedaleka: z Finmarken, jak mi opowiadał. Urodził się w Finlandyi i jako dziecko przywędrował z ojcem swym w nasze strony.

Wangel. Więc to Finlandczyk?

Ellida. Tak mówią...

Wangel. Cóż jeszcze o nim wiesz?

Ellida. Zresztą nic, krom tego, że bardzo wczesnie poszedł na okręt i że odbywał dalekie podróże.

Wangel. Poza tem nic?

Ellida. Nie. Nie mieliśmy zresztą nawet sposobności o tego rodzaju sprawach mówić.

Wangel. O czemże zresztą mówiliście?

Ellida. Mówiliśmy wyłącznie niemal o morzu.

Wangel. Ach! O morzu więc!...

Ellida. O burzach i o ciszy morskiej. O morzu w czasie ciemnej nocy i w czasie słonecznego, promienistego poranka. Najczęściej rozmawialiśmy zaś o wielorybach, delfinach i psach morskich, które w południe wylegiwały się na piasku nadbrzeżnym, wygrzewając się na słońcu. Opowiadaliśmy sobie też o mewach i orłach morskich i innych ptakach, co ulatują nad morzem. A przytem, co właśnie dziwne, ilekroć mówiliśmy o tem, miałam wrażenie, że te ptaki morskie i inne stworzenia są z nim spokrewnione.

Wangel. A ty?

Ellida. I ja czułam się im bliżką i spokrewnioną.

Wangel. Tak, tak... A potem zaręczyliście się?

Ellida. Tak, mówił, że muszę się na to zgodzić.

Wangel. Że musisz? Czy nie liczył się z twoją wolą?

Ellida. Jego obecność obezwładniała moją wolę... Dziś to dla mnie niepojęte.

Wangel. Widywaliście się często?

Ellida. Nie bardzo... Raz zaglądnął do naszej latarni i wtedy poznaliśmy się. Odtąd spotykaliśmy się tu i ówdzie. Potem musiał wskutek owego zajścia z kapitanem opuścić te strony.

Wangel. Jakże to było? Opowiedz...

Ellida. Raz, wczesnym rankiem, ledwie świtało, doręczono mi kartkę od niego. Na kartce było kilka słów z prośbą, abym przyszła na oznaczone miejsce na zachód od latarni. Zaklinał, bym zaraz przyszła, bo musi z mną mówić.

Wangel. A ty usłuchałaś?

Ellida. Tak. Nie mogłam inaczej... Opowiedział mi wówczas, że w nocy zakłął kapitana.

Wangel. Przyznał się więc sam! Tak bez ogródek?

Ellida. Tak. Ale uczynił to po słuszności i sprawiedliwości.

Wangel. Po sprawiedliwości?! Czemuż go zabił?

Ellida. Tego mi nie chciał wyjawić. Mówił, że to nie dla moich uszu.

Wangel. I ty uwierzyłaś jego gołosłownym zapewnieniom?

Ellida. Tak. Nie wahałam się wcale. Nie mógł tu jednak dłużej zostać. Gdyśmy się już mieli żegnać... nie odgadłbyś nigdy, na jaki wpadł pomysł.

Wangel. No? Cóż takiego?

Ellida. Wydobył z kieszeni pierścień na klucze i ściągnął potem ze swego palca pierścień, który zwykle nosił, i zażądał odemnie pierścienka. Obydwa

pierścionki zawiesił na owym pierścieniu od kluczy i oświadczył, że musimy oboje morzu ślubować narzeczeństwo...

Wangel. Narzeczeństwo?

Ellida. Tak... Potem cisnął z całą siłą pierścienie w głąb morza...

Wangel. A ty? Zgodziłaś się na to?

Ellida. Oczywiście... Miałam wówczas wrażenie, że to stać się musi a ła o. Ale, chwala Bogu, w godzinę potem odjechał!

Wangel. A po jego odjeździe?

Ellida. Pojmiesz, że niedługo po tem pożegnaniu odzyskałam władzę nad sobą i zrozumiałam, że popełniła krok szalony i głupi.

Wangel. Wspominałaś o listach jakichś... Więc miałaś później jakieś wiadomości o nim?

Ellida. Tak... Po kilkunastu dniach doniósł mi w kilku słowach, że szuka sposobności, by się przedostać do Ameryki. Podał mi też swój adres.

Wangel. Odpisałaś mu?

Ellida. Bez zwłoki. Napisałam mu, że między nami wszystko skończone. Prosiłam go, aby przestał o mnie myśleć, tak jak ja o nim więcej myśleć nie będę.

Wangel. Czy pisywał ci mimo to?

Ellida. Tak, napisał znów.

Wangel. Cóż ci odpowiedział na twoje oświadczenie?

Ellida. O tem nie wspomniał nawet, jakby tych słów nie był wcale czytał. Pisał ze spokojem i powagą, abym nań czekała. Gdy nadejdzie sposobna chwila, zawezwie mię; prosił, abym wówczas nie zwlekała.

Wangel. Nie chciał cię tedy zwolnić?

Ellida. Nie. Niedługo potem napisał drugi raz słowo w słowo to samo, tylko nieco natarczywiej.

Wangel. A w końcu zaniechał?...

Ellida. Bynajmniej. Pisał spokojnie, nie wspomi-

nając o tem, że zerwała z nim. Wówczas przekonałam się, że listy moje są bezcelowe, i nie pisałam mu już nigdy.

Wangel. I odtąd nie słyszałaś nic już o nim?

Ellida. Otrzymałam jeszcze później trzy listy od niego. Jeden z Kalifornii, drugi z Chin, a ostatni z Australii. W ostatnim liście donosił mi, że udaje się do kopalń złota. Odtąd nic już o nim nie wiem.

Wangel. Ten człowiek posiadał nad tobą niesłychaną władzę, Ellido.

Ellida. Ach to był okropny, potworny człowiek!

Wangel. Nie wolno ci o nim myśleć, Ellido! Daj mi słowo, moja jedyna i ukochana, że wszelką myśl o nim w sobie stłumisz! Zastosujemy teraz nowy środek leczenia. Szukać będziemy świeższego powietrza, jak to nasze we Fjordach. Ostrego, słonego powietrza morskiego ci trzeba! Cóż ty na to?

Ellida. Nie powtarzaj tego! To mię nie wyleczy. Czuję aż nadto dobrze, że i tam nie będę mogła ze siebie stoczyć tego ciężaru.

Wangel. Co? Nie rozumiem cię...

Ellida. Mam na myśli tę grozę, tę moc, którą nademną roztoczył.

Wangel. Toś już przecie przewyciężyła dawniej, gdyś z nim zerwała. To chyba należy do dalekiej przeszłości.

Ellida. porywa się Nie! właśnie, że nie!

Wangel. Więc nie?!

Ellida. Nie, mój drogi! I lękam się, czy kiedykolwiek zdołam wyjść z tego błędnego koła.

Wangel. głos. m. zlatawionym. Innemi słowy, że ten obcy tak głęboko utkwiał w twojej duszy, że go nigdy zapomnieć nie mogłaś?

Ellida. Zapomniałam o nim... Aż w tem pewnego razu nawiedziło mię znowu wspomnienie...

Wangel. Kiedyż to było?

Ellida. Przed trzema laty, a może i nieco dawniej. To było w owym okresie, gdy dziecko nasze miało przyjść na świat.

Wangel. Więc to wtedy? Teraz poczynam już rozumieć wiele rzeczy.

Ellida. Mylisz się, mój drogi! Ten stan, w który wówczas popadłam, pozostał mi zagadką, do dziś niewyjaśnioną.

Wangel patrzy na nią z bolesnym wyrzutem. Ta myśl, że od trzech lat duszą i sercem do innego należysz!... Do innego, nie do mnie!

Ellida. Bardzo się mylisz. Serce moje do ciebie należy.

Wangel ciszej. Dlaczegoż przez ten cały czas nie chciałaś mi być z oną?

Ellida. Z powodu grozy, która wiała od tego obcego.

Wangel. Grozy?

Ellida. Tak, grozy tak potężnej, jaką tylko morze przejmuje. I odtąd, mój drogi...

SCENA VI.

Ci sami i młodzież miejska, która nadchodzi z lewej strony i kłaniając się odchodzi na prawo. W tej samej chwili wracają dwie pary: Arnholm i Boletta, Hilda i Lyngstrand.

Boletta zbliżając się. Jeszczeście tu?

Ellida. Tu taki miły chłód...

Arnholm. My wybieramy się na dół, aby trochę potańczyć.

Wangel. Dobrze, dobrze, odnajdziemy was tam.

Hilda. Do widzenia więc, na dole.

Arnholm, Boletta, Hilda odchodzą na prawo.

Ellida. Panie Lyngstrand... zostanie pan z nami trochę.

Lyngstrand stoi niepewny.

Ellida do Lyngstranda. Chce pan także tańczyć?

Lyngstrand. Nie, proszę pani, nie mogę tańczyć.

Ellida. Powinien pan doprawdy być ostrożnym. Nie pozbył pan się jeszcze tego kłopotu... z płucami.

Lyngstrand. Nie całkiem jeszcze.

Ellida cokolwiek niepewnie. Dawno, jak się panu zdażył ten wypadek w czasie podróży?

Lyngstrand. Przypomniała pani sobie poranne opowiadanie moje... To było... mniej więcej... przed trzema laty... tak minął już trzeci rok od tej nieszczęśliwej wyprawy.

Ellida. Więc trzy lata...

Lyngstrand. Minęły już trzy lata... Z Ameryki odbiłszy w lutym, a w marcu rozbił się nasz statek, to było w porze, gdy dzień równa się z nocą.

Ellida patrzy na Wangla. Czas więc zgadza się...

Wangel. Ależ, moja Ellido...

Ellida. Nie zatrzymamy pana dłużej, panie Lyngstrand. Idź pan, ale o tańcach nie myśl.

Lyngstrand. Nie; będę tylko widzem.

Odchodzi na prawo.

SCENA VII.

Ellida, Wangel.

Wangel. Moja droga, pociąg go tak szczegółowo wypytywała o tę podróż?

Ellida. Johnston był z nim na jednym statku. Jestem tego pewna.

Wangel. Z czego to wnosisz?

Ellida nie zważając na jego pytanie. Dowiedział się w czasie podróży, że w posłubiła innego w czasie jego nieobecności. I w tej samej chwili nawiedziły mnie znowu te wspomnienia.

Wangel. I obudziła się owa groza?

Ellida. Tak. Zupełnie niespodzianie stanął jak żyw

przedemną. Nie patrzy jednak nigdy na mnie, czuję tylko jego obecność.

Wangel. Jakże go sobie wyobrażasz?

Ellida. Nie zmienił się wcale. Wygląda jak przed laty dziesięciu, gdy mi opowiadał owe cudy o morzu. Widzę nawet szpilkę z dużą modrawą perłą, którą wtedy miał w dziurce surduta. Ta perła wygląda jak oko martwej ryby. Mam wrażenie, że to rzekome oko bezustanku jest we mnie wpite.

Wangel. Bóże się Boga!... Tyś bardziej chora, jak przypuszczałem i jak sama przypuszczasz, Ellido.

Ellida. Radź mi, jeśli możesz! Bo czuję, że ciężar, który dźwigam, coraz bardziej mię przygniata.

Wangel. I żyłaś w takim usposobieniu całe trzy lata. Robak toczy ci duszę, a ty nie wspomniałaś nawet słowem o tem?

Ellida. Bo nie mogłam! Teraz musiałam to uczynić ze względu na ciebie. Gdybym ci była zwierzyła się ze wszystkiego, musiałabym była ci wyjawić i tę rzecz... niepojętą...

Wangel. Niepojętą?

Ellida wzbraniając się. Nie, nie! Nie pytaj mię o to! Tylko o jedno jeszcze mi chodzi. Jak rozwiążemy tę zagadkę z oczyma dziecka?...

Wangel. Moja kochana, to czyste złudzenie z twojej strony. Dziecko miało takie same oczy, jakie mają i inne dzieci.

Ellida. Nie, to niemożliwe! Nie umiałeś chyba patrzeć. Oczy dziecka zmieniały swą barwę wedle zabarwienia morza. Gdy morze było oblane słońcem, błyszczały i mieniły się od światła i oczy dziecka, a gdy zapadała noc, i one wpadały w ponurą ciemność. Zauważyłam to doskonale, choć ty przecyzysz.

Wangel unikając sprzeczeki. Hm... być może. Przypuśćmy, że tak było, to co z tego wynika?

Ellida cicho, sposobem zwierzenia. Widziałam już raz takie oczy.

Wangel. Kiedy? Gdzie?...

Ellida. U nieznanego żeglarza. Przed laty dziesięciu.

Wangel cofa się o krok. Cóż znowu!...

Ellida szeptając drżąc. Dziecko miało jego oczy.

Wangel mimowoli krzyczy. El-li-do!...

Ellida załamuje z rozpaczony ręce nad głową. Pojmiesz teraz, dlaczego nie chcę, a raczej nie mogę być ci odtąd żoną. Odwraca się prędko i biegnie na prawo między wzgórz.

Wangel goni za nią i woła. Ellido! El-li-do! Moja nieśczęśliwa, biedna Ellido!

AKT TRZECI.

Tylna część ogrodu doktora Wangel. Na lewo ława kamienna. Ziemia jest w tem miejscu bagna, ocieniona wielkimi, starymi drzewami. Na prawo widny brzeg spleśniałego jeziora. Daleko w tyle widać fjord i cypłe łąd. Pora przedwieczorna.

SCENA I.

Boletta siedzi na kamiennej ławie i szyje; obok niej leży parę książek i koszyk na roboty. **Hilda** i **Lyngstrand** stoją nad brzegiem jeziora uzbrojeni we wędkę i sieć. Potem **Arnholm**.

Hilda daje znak **Lyngstrandowi**. Cyt!... Widzę tam rybę.

Lyngstrand szukając wzrokiem. Gdzie to?

Hilda pokazuje. Patrz pan, tu na lewo. I tu! Jeszcze jedna! Patrzy między drzewa. Zaraz ten nam spłoszy zdobycz.

Boletta zwraca się ku niej z ławki. Kto to?

Hilda. Twój profesor, stara!

Boletta. Mój?...

Hilda. Bóg mi świadkiem, że nie mój.

Arnholm wychodzi z za drzew. Czy są jeszcze ryby w stawie?

Hilda. Jest kilka niedobitków. Staramy się je upolować.

Arnholm. Powinnościście próbować szczęścia nad fiordem.

Lyngstrand. O nie, wolimy tu. Staw jest, że tak powiem, bardziej tajemniczy.

Hilda. Więcej w nim uroku... Czy pan teraz wraca z kąpeli?

Arnholm. Właśnie wracam z zakładu.

Hilda. Musiał pan być w basenie?

Arnholm. Nieszczęśliwny ze mnie pływak.

Hilda. Umie pan pływać na grzbiecie?

Arnholm. Nie.

Hilda. Ja umiem. Do Lyngstranda. Spróbujemy jeszcze na drugim brzegu. Odechodzą wzdłuż wybrzeża.

SCENA II.

Boletta, Arnholm.

Arnholm zbliża się do Boletty. Siedzi tu pani w samotności, Boletto?

Boletta. Jak zwykle, panie kierowniku.

Arnholm. Matka pani jest zapewne gdzie w pobliżu?

Boletta. Nie. Zdaje mi się, że poszła z ojcem na przechadzkę.

Arnholm. Jakże się czuje dziś po południu?

Boletta. Nie wiem, doprawdy. Zapomniałam się pytać.

Arnholm. Jakie pani tam ma książki?

Boletta. Jedna jest z zakresu botaniki, a druga, to opis ziemi.

Arnholm. Czytuje pani chętnie takie rzeczy?

Boletta. O ile mi czas na to pozwala... Bo w pierwszym rzędzie dbać muszę o gospodarstwo.

Arnholm. Czy nie pomaga pani w tem matka... druga matka pani?

Boletta. Nie. Gospodarstwem zajmuję się sama. Prowadzę je od śmierci matki.

Arnholm. Ale książki czytuje pani jeszcze tak chciwie, jak dawniej.

Boletta. Czytam bardzo chętnie, o ile dostanę jakąś pożyteczną książkę. Radabym czegoś dowiedzieć się o świecie, bo my tu żyjemy jakby odcięci od życia.

Arnholm. To troszkę przesada...

Boletta. Bynajmniej. Nasuwa mi się nieraz porównanie, że życie nasze podobne jest do życia tej garstki ryb, co vegetuje w stawie. W pobliżu nich pławią się w pełni życia ryby — mieszkanki morza, lecz one są pozbawione udziału w tem życiu. To wygnanki.

Arnholm. Wątpię, czy ta pełnia życia, jak się pani wyraziła, wyszłaby im na korzyść.

Boletta. To zależy...

Arnholm. A przylem nie można twierdzić, jakoby się tu żyło w odcięciu od świata. Zwłaszcza w lecie jest tu jakby miejsce zborne kraju, niejako punkt ciężkości na czas sezonu.

Boletta uśmiecha się. Bo i pański pobyt tu jest tylko sezonowy, dlatego też łatwo panu z nas się naigrawać.

Arnholm. Naigrawać się? Dlaczego mię pani o to posadza?

Boletta. Te górne wyrazy o punkcie zbornym i środku ciężkości na to w wysokim stopniu zakrawają. Zresztą frazes ten powtarzają wszyscy niemal letnicy, choć w tem niema krzty prawdy. Bo cóż nam, zamkniętym w tym bezludnym zakątku, z tego, że tu na lato zjeżdżają panowie i panie z miasta, by się krzepić naszymi kąpielami. Drzewa życia nam nie zaszczepią.

Arnholm siada obok niej. Proszę pani, czy ta tęsknota za pełniejszym życiem nie ma przypadkiem podkładu innego? Czy nie przybiera ona czasem kształtów bardziej określonych?

Boletta. Owszem, i to się zdarza.

Arnholm. Więc i o cóż pani chodzi? Czegoby pani pragnęła?

Boletta. Przedewszystkiem: wydobyć się stąd.

Arnholm. A poza tem?

Boletta. Chciałabym także zdobyć trochę wiedzy, choć trochę z każdej dziedziny.

Arnholm. Gdym panią uczył, mawiał ojciec, że wysła panią gdzieś na nauki.

Boletta. Mój biedny ojczulek... on tyle obiecuje, lecz gdy przyjdzie do wykonywania, brak mu sił i przedsiębiorczości.

Arnholm. To, niestety, prawda. Cierpi na niedostatek energii. Ale czy mówiła z nim pani kiedyś o tem poważnie i stanowczo?

Boletta. Nie, tego nie czyniłam.

Arnholm. Pomówże pani z nim, zanim będzie za późno. A czemu pani dotąd zwlekała?

Boletta. Prawdopodobnie dlatego, że cierpię... na niedostatek energii. To widocznie nabytek po ojcu.

Arnholm. I to możliwe...

Boletta. Do dziś nie zdobyłam się na parę stanowczych słów. A zresztą ojcu brak czasu i ochoty by się zastanowił nad moją przyszłością. Takie myśli usuwa od siebie... Nadto zajęty jest Ellidą...

Arnholm. Kim?

Boletta. Chciałam powiedzieć, że ojciec i moja druga matka... Urywa. Ojciec i matka żyją wyłącznie sobą i nie mogą wiele uwagi nam poświęcać.

Arnholm. Byłoby więc tem lepiej, gdyby pani wyjechała.

Boletta. Wydaje mi się jednak, że nie mam do tego prawa. Nie mam prawa, ojca opuszczać.

Arnholm. Ale do tego kiedyś przyjsć musi, a im prędzej, tem lepiej...

Boletta. Tak, to nicodzowne... Muszę raz wreszcie i o sobie pomyśleć. Muszę się za czems oglądnąć,

bo gdy ojca kiedyś nie stanie, pozostanę bez środków... Biedny ojczulek... drzę na myśl o opuszczeniu go.

Arnholm. Drży pani?...

Boletta. Tak, drzę o niego.

Arnholm. Ależ na Boga, a matka? Ona przecie przy nim zostanie?

Boletta. Zapewne... ale brak jej wiele przymiotów, które posiadała nasza matka. Ona wielu rzeczy wprost nie widzi. Nie chce może widzieć, lub je sobie lekceważy. Nie wiem właściwie, gdzie szukać przyczyny.

Arnholm. Hm... domyslałam się o co pani chodzi.

Boletta. Biedny ojciec... jemu potrzeba w niejednym względzie podpory. Zając ma za mało, aby mu wypełniły czas w zupełności, a ona nie dostarczy mu spokoju. W części to może i jego własna wina.

Arnholm. Jego wina?

Boletta. Bo ojciec pragnie zawsze widzieć dookoła siebie zadowolone twarze. Powtarza bezustannie, że w domu powinno panować niepodzielnie zadowolenie i wesele. Lękam się zaś, aby pewnego dnia nie zaskoczyło go coś wręcz przeciwnego.

Arnholm. Doprawdy pani żywi takie obawy?

Boletta. Tak. Tej myśli nie mogę się nieraz wyzbyc. Dręczy mię bez litości. Gwałtownie. Ale nikt nie ma prawa domagać się, bym tu u całe życie przesiedziała. Ojcu też to się nie wiele przyda. Sądzę zresztą, że mam pewne obowiązki i względem siebie.

Arnholm. O tem należałoby dokładniej pomówić i zastanowić się.

Boletta. Wątpię, czy to będzie miało jakiś skutek. Widzę się skazaną na wieczny pobyt w tej pustelni.

Arnholm. To zupełnie od pani zawisło...

Boletta. Gdybyż tak istotnie było!... Czy pomówi pan z ojcem o mnie?

Arnholm. Chętnie. Ale przedewszystkiem muszę pomówić śmiało i otwarcie z panią... Patrzy na lewo. Odczytny na razie rozmowę. Wrócimy do niej później.

SCENA III.

Ci sami i Ellida, która nadechdzi z lewej strony. Nie nosi kapelusza, ma tylko zarzucony na głowę i plecy wielką chustkę.

Ellida żywym, niespokojnym głosem. Jak tu miło i pięknie!

Arnholm wstaje. Wraca pani z przechadzki?

Ellida. Tak. Odbyliśmy długą, wspaniałą przechadzkę z Wanglem. A teraz puszczamy się łódką na morze.

Boletta. Możebyś siadła tu trochę?

Ellida. Nie, nie będę siedziała.

Boletta posuwa się. Miejsca jest dość.

Ellida krążąc na jednym miejscu. Nie, nie. Nie chcę siedzieć; nie chcę siedzieć.

Arnholm. Wycieczka pokrzepiła panią. Jesteś pani tak ożywiona...

Ellida. O tak mi błogo! Czuję się tak niewypowiedzianie szczęśliwą! Tak spokojną i bezpieczną!... Patrzy na lewo. Co to za olbrzymi okręt nadpływa?

Boletta wstaje i wygląda. To zapewne ten wielki angielski statek.

Arnholm. Zarzuca w pobliżu fjordu kotwicę.

Ellida. Tak... do jutra... A jutro rusza dalej... Czuć będzie ton morza i kołysać się na jego falach. Gdybyż tak być tam na pokładzie! Gdybyż!...

Arnholm. Odbywała pani kiedy dłuższą podróż morską?

Ellida. Niestety... Conajwyżej kilkunastogodzinne wycieczki.

Boletta wzdychając. Musimy się już oswoić ze stałym łądem.

Arnholm. Bo on też jest naszą kolebką.

Ellida. Jestem innego zdania...

Arnholm. Nie przyznaje pani, że łąd jest nam kolebką?

Ellida. Nie. To stanowczo przesąd. Jestem przekonana, że gdyby się ludzie od pierwszej chwili byli przyzwyczaili do życia na morzu — a nawet w morzu — byłoby bezwątpienia doskonalsi i niewątpliwie szczęśliwsi.

Arnholm. Mówi pani bez żartów?

Ellida. Oczywiście. Ciekawam, czy mi kto dowiedzie, że to nieprawda. Mówiliśmy o tem nieraz z Wanglem.

Arnholm. A on?

Ellida. Nie przeczy. Mówi, że to możliwe.

Arnholm żartując. Przypuśćmy... Ale co się stało, nie odstanie się. Ludzie obrali błędną drogę i stali się trzodą ziemską, zamiast morską. W każdym jednak razie zapóźno już na naprawienie omyłki.

Ellida. Wygłosił pan smutną prawdę. Zauważam też nieraz, że ludzie mają niejasną świadomość swego wielkiego błędu. Rodzi on w nich utajony ból i utajony żal. Wierzej mi pan — oto najgłębsze źródło smutku ludzkiego. Wierzej mi pan..

Arnholm. Szanowna pani, ja nie widzę tego stałego źródła smutku u ludzi. Z postrzegania ludzi odniosłem wręcz przeciwne wrażenie: życie jest dla nich wesołą igraszką, na każdym kroku objawiają raczej bezświadomą, pogodną radość.

Ellida. O nie, nie zgodzę się z panem. Owa radość, to jakby radość z długiego, słonecznego dnia. Za nią jednak wlecze się przeczcucie nadchodzących ciemności, i to przeczcucie kładzie się właśnie ponurym cieniem na ludziach, jak ta chmura co zasępia niebo. Przed chwilą było takie błękitne, promieniste, a teraz...

Boletta. Nie powinnaś się poddawać tak smutnym myślom. Przed chwilą byłaś taka wesoła i zadowolona...

Ellida. Tak, byłam... Ach, bo jestem nieraz tak głupia. Ogląda się z niepokojem. Żeby już raz Wangel nadszedł. Dał mi słowo, że zaraz nadejdzie i mimo to nie widać go. Pewnie zapomniał. Gdyby tak pan chciał go poszukać.

Arnholm. Bardzo chętnie.

Ellida. Powiedz mu pan, aby natychmiast przyszedł. Wcale go teraz nie widzę...

Arnholm. Nie widzi go pani?

Ellida. Ach, nie rozumie mię pan. Gdy nie jest przy mnie, nie mogę sobie często przypomnieć, jak wygląda. I wówczas zdaje mi się, że go straciłam już na zawsze. A to okropna męka. Idźcie pan! Chodzi niespokojnymi krokami.

Boletta do Arnholma. Pójdę z panem. Ukończymy rozmowę.

Arnholm. Możemy później...

Boletta półgłosem. Nie, nie, jestem niespokojna. Lękam się, czy ojciec nie jest na pokładzie okrętu.

Arnholm. Z tego powodu lęka się pani?

Boletta. Tak. Zwykł zaglądać na pokład przychodzących okrętów, czy nie ma znajomych. A przytem na statku musi być bufet...

Arnholm. Tak! Chodźcie pani. Odechodzi wraz z Bolettą na lewo.

SCENA IV.

Ellida staje nad brzegiem stawu i przygląda się jego toni. Od czasu do czasu padają z jej ust ciche urwane słowa. Z zewnątrz wzdłuż płotu nadechodzi Obey w lichym podróżnym stroju. Ma kędzierzawe, rude włosy i także brodę, na głowie szkocką czapkę, a na plecach zawieszoną na rzemieniu torbę podróżną.

Obey kroczy powolnie wzdłuż płotu i zagląda do ogrodu; na widok Ellidy zatrzymuje się, obrzuca ją badawczym, niezadowolonym spojrzeniem i mówi przytłumionym głosem. Dobry wieczór, Ellido!

Ellida odwraca się i woia. O najdroższy — jesteś nareszcie!

Obey. Jestem nareszcie.

Ellida patrzy nań trwożnie i niespokojnie. Co pan za jeden? Szuka pan tu kogoś?

Obey. Powinnaś się domysleć.

Ellida w zdumieniu. Co to ma znaczyć? Jak pan do mnie mówi? Szuka pan tu czegoś?

Obey. Szukam tylko ciebie.

Ellida z drżeniem. Ach!... Wpatruje się weń, cofa się gwałtownie i wyrzuca z siebie przytłumiony okrzyk: Te oczy! Jego oczy!

Obey. No — poznajesz mię wreszcie? Ja poznałem cię zaraz, Ellido.

Ellida. Te oczy! Nie patrz pan tak na mnie! Wołam o pomoc!

Obey. Cicho! Nie krzycz! Nie bój się. Nic ci się nie stanie.

Ellida przystania sobie ręką oczy. Nie patrz pan tak na mnie, powtarzam!

Obey opiera się łokciami o płot. Przyjechałem angielskim okrętem.

Ellida rzuca nań ukradkowe, trwożne spojrzenie. Czego pan chcesz ode mnie?

Obey. Obiecałem ci przecie, że powrócę, skoro tylko będę mógł.

Ellida. Jedź pan dalej! Jedź! I nie wracaj — nigdy! Pisałam przecie, że między nami wszystko skończone! Wszystko! Czy nie rozumiesz pan tego?

Obey niezbity z tropu, nie odpowiadając na jej słowa. Byłbym chętnie prędzej do ciebie wrócił, ale nie mogłem. Teraz nareszcie udało mi się i oto masz mię znowu, Ellido!

Ellida. Czegoż pan chce ode mnie? Po coś pan tu przyszedł?

Obey. Domyślisz się chyba, że po to, aby ciebie zabrać.

Ellida cofa się strwożona w tył. Mnie zabrać! Po to pan przyszedł?!

Obcy. Tak, oczywiście.

Ellida. Nie wie pan chyba, że należą do innego!

Obcy. Owszem, wiem.

Ellida. I mimoto, przychodzi pan, aby mię zabrać!

Obcy. Tak, przychodzę, aby cię zabrać.

Ellida chwyta się za głowę. Ach jakie to okropne!... Jakie straszne!...

Obcy. Nie chcesz pójść ze mną?

Ellida zmieszana. Nie patrz pan tak na mnie!

Obcy. Pytam, czy nie chcesz?

Ellida. Nie, nie, nie! Nie chcę! Przenigdy! Nie chcę i nie mogę! Ciszej. I nie wolno mi.

Obcy przeskakuje płot i wchodzi do ogrodu. W takim razie pozwól mi jeszcze jedno powiedzieć, zanim odjadę.

Ellida chce uciekać, ale nogi odmawiają jej posłuszeństwa; stoi ubezwładniona lękiem i opiera się o drzewo nadbrzeżne. Nie dotykaj mię pan! Nie idź pan dalej! Ani kroku więcej! Nie tykaj mię pan!

Obcy zbliża się ostrożnie do niej. Nie bójże się mnie, Ellido.

Ellida przysłania sobie ręką oczy. Nie patrz pan na mnie!

Obcy. Tylko się nie bój! Nie bój się!

SCENA V.

Ci sami i Wangel, który nadchodzi z lewej strony ogrodu.

Wangel wychodząc z za drzew. No, wyczekałaś się na mnie.

Ellida rzuca się ku niemu i chwytając go kurezowo za ramię, woła. Kochany mój, ratuj mię! Ratuj — jeśli możesz!

Wangel. Ellido... cóż, na Boga!...

Ellida. Ratuj mię, mój drogi! Czy go nie widzisz? Patrz, tam stoi!

Wangel spostrzega Obcego. Ten człowiek tam? Zbliża się doń. Wybacz pan... czego pan sobie tu życzy?

Obcy wskazując Ellidę. Chciałem z nią pomówić.

Wangel. Taak... To pan więc był?... Do Ellidy. Mówiono mi, że jakiś obcy człowiek pytał się o ciebie.

Obcy. To ja.

Wangel. Czegoż pan chce od mojej żony? Zwraca się do Ellidy. Znasz tego człowieka, Ellido?

Ellida cicho, załamując ręce. Czy go znam?! Tak, tak! To on. On sam! Opowiadałam ci przecie o nim...

Wangel. Co?! Co mówisz?! Zwraca się do Obcego. Więc to pan, ów Johnston, który wtedy?...

Obcy. Johnston? Ostatecznie niech będzie i tak. Właściwie nie nazywam się tak.

Wangel. Nie?

Obcy. Nie. Nazywam się teraz inaczej.

Wangel. I czegoż pan sobie życzy od mojej żony? Wie pan przecie, że córka latarnika jest zamężna.

Wiesz pan także zapewne, czyją jest żoną.

Obcy. Wiem o tem już od trzech lat.

Ellida zaciekawiona. Skąd pan o tem wiesz?

Obcy. Wybierałem się z powrotem do ciebie, gdy mi na statku wpadła do ręki stara gazeta. W niej wyczytałem wiadomość o twoim ślubie.

Ellida. O ślubie?... Więc to...

Obcy. To mną tak wstrząsnęło... Bo i myśmy sobie ślubowali wierność. Pamiętasz nasze zaręczyny z pierścionkami...

Ellida załamuje ręce. Ach!

Wangel. Jak pan śmie!...

Obcy. Zapomniałaś, Ellido?

Ellida czując na sobie spojrzenie jego, woła. Nie patrz pan tak na mnie!

Wangel staje przed nim. Teraz masz pan ze mną do czynienia, a nie z nią. A skoro pan już o wszystkim jest powiadomiony, czegoż sobie życzysz? Po

co pan się tu jawisz z takimi niedorzecznymi roszczeniami?

Obcy. Obiecałem Ellidzie, że wrócę, gdy mi stosunki na to pozwolą.

Wangel. Ellidzie! Proszę pana, ta poufałość!...

Obcy. A Ellida święcie mi przyrzekła czekać mego powrotu.

Wangel. Znowu pan nazywa żonę moją po imieniu. Zwracam uwagę pana na to, że nie każdemu to wolno. **Obcy.** Wiem o tem. Ale ponieważ ona przede wszystkim do mnie należy...

Wangel. Do pana? Więc i nadal!...

Ellida cofa się. O!... On mię nigdy nie zwolni!

Wangel. Do pana?! Skąd pan może w ten sposób mówić?!

Obcy. Czy opowiadała panu Ellida o pierścieniach? O swoim i moim pierścieniu?

Wangel. Tak. Ale co to ma za związek z tem, z czem pan tu przychodzisz? Otrzymałeś pan przecie jej listy, w których panu oświadczyła, że z panem nic nie ma wspólnego.

Obcy. Oboje uznaliśmy zgodnie, że przez połączenie naszych pierścionków i ofiarowanie ich morzu zawieramy ślub. To była nasza zgodna, szczerza wola.

Ellida. Ależ powtarzam panu, że tego nie uznaję! Nie chcę z panem wogóle nic mieć wspólnego! Nie przeszywaj mię pan wzrokiem! Nie chcę pana widzieć, powtarzam!

Wangel. Musisz pan chyba być szaleńcem, skoro z takich głupstw jakieś prawa dla siebie wywodzisz.

Obcy. To prawda. Prawa — w znaczeniu, jak pan je pojmujesz — nie mam.

Wangel. Czegóż pan właściwie chcesz? Nie tudzisz się pan chyba, jakobyś mógł użyć przemocy... wbrew jej woli!

Obcy. Nie. Toby było bezcelowe. Jeśli ona się

poczują do obowiązku, to pójdzie za mną dobrowolnie.

Ellida drgnęła; woła. Dobrowolnie!...

Wangel. I spodziewa się pan tego?

Ellida w zamyśleniu. Dobrowolnie!

Wangel. Musisz pan być niepoczytalnym. Proszę nas uwolnić od swego towarzystwa, nie mamy nic z panem wspólnego.

Obcy patrzy na zegarek. Już i na mnie pora... Robi krok naprzód. Tak, Ellido, spełniłem swój obowiązek. Zbliża się do niej. Spełniłem złożoną ci obietnicę.

Ellida cofa się przed nim i mówi błagalnie. Ach, nie dotykaj mię pan!

Obcy. Zostawiam ci czas do namysłu — do jutrzejszej nocy.

Wangel. Tu się niema co namyślać. Żegnaj pana.

Obcy zwrócony do Ellidy. Jutro w nocy przyjdę tu znowu, aby z tobą pomówić. Oczekuj mię tu w ogrodzie... a wolalby, aby się obeszło bez świadków.

Ellida drżącym, słabym głosem. Słyszysz, Wangel?!

Wangel. Uspokój się, dziecko. Będziemy się umieli ochronić przed wizytą tego pana.

Obcy. Do widzenia tedy, Ellido... do jutra.

Ellida błagalnie. O, nie nie! Nie wracaj pan jutro! Nie wracaj nigdy!

Obcy. A gdybyś ostatecznie zdecydowała się towarzyszyć mi za morze...

Ellida. Nie patrz pan tak na mnie!

Obcy. Chciałem jeszcze dodać, abys była gotowa do podróży.

Wangel. Wróć do pokoju, Ellido.

Ellida. Nie mogę. O ratuj mię! Ratuj, jedyny!

Obcy. Wiedz zaś, że jeśli jutro nie jedziesz ze mną, to między nami wszystko skończone.

Ellida ugina się pod jego wzrokiem. Wszystko skończone? na zawsze?...

Obcy potakuje skinieniem głowy. Nieodwołalnie skończone. Nie wrócę już nigdy. Nigdy już mię nie ujrzysz, ani o mnie nie usłyszysz. Przeszanę dla ciebie istnieć.

Ellida wzdycha. O!...

Obcy. Zastanów się tedy dobrze. Bywaj zdrowa. Przeskakuj płot, staje i mówi. Tak, Ellido, jutro w nocy masz być gotową do drogi. Przyjść, by cię zabrać. Oddala się wolnym, spokojnym krokiem.

SCENA VI.

Wangel. Ellida.

Ellida ściga odchodzącego wzrokiem. Dobrowolnie, mówił! Pomyśl, mówił, że mam za nim pójść dobrowolnie.

Wangel. Uspokój się. Już go tu niema. I nie zobaczysz go więcej.

Ellida. Jakto? Jutro przecie znowu przyjdzie?

Wangel. Niech przyjdzie. Ciebie chyba tu nie zastanie.

Ellida potrząsa głową. Mylisz się, jeśli sądzisz, że go zdołasz powstrzymać.

Wangel. Najdroższa, zaufaj mi tylko, a wszystko będzie dobrze.

Ellida zatopiona w myślach, mówi do siebie. Gdyby on tak... jutro nocą tu przyszedł?... Gdyby potem odjechał stąd na okręcie?...

Wangel. Cóż tedy?

Ellida. Ciekawam, czy w takim razie wróci jeszcze kiedyś?

Wangel. Nie, droga, z pewnością już nie wróci. Bo i pocóżby miał wracać? Usłyszał przecie wyraźnie z twoich własnych ust, że on dla ciebie nie istnieje I tem samem wszystko skończone.

Ellida w zamysleniu. Jutro więc -- lub nigdy.

Wangel. A gdyby mimo to zapragnął rzeczywiście, tu znowu zawitać...

Ellida zaciekawiona. Cóż tedy?

Wangel. ...Natenczas znajdziemy środki, aby go się pozbyć.

Ellida. O, to niemożliwe.

Wangel. Tylko mi zaufaj! Jeśli inne środki zawiodą, to pociągniemy go do odpowiedzialności za zbrodnię, popełnioną na kapitanie okrętu.

Ellida z uniesieniem. Nie! Przenigdy! O zbrodni nic nie wiemy! Bezwarunkowo nic!

Wangel. Nie wiemy? Przyznał się przecie sam przed tobą!

Ellida. Nie! O tem ani słowa nikomu! Zaprzeczę wszystkiemu z całą stanowczością. Jego nie wolno więzić. On jest synem morza. Tam jego gniazdo.

Wangel zatrzymuje na niej wzrok i mówi powoli. Ach Ellido, Ellido!

Ellida chwytta się gorączkowo jego ramion. Mój jedyny, najdroższy, broń mię przed tym człowiekiem!

Wangel usuwa ją ostrożnie. Chodź! Chodź ze mną!

SCENA VII.

Ci sami i Lyngstrand z Hildą; oboje nadchodzą z nad stawu z wędkami w ręku.

Lyngstrand zbliża się z pośpiechem do Elidy. Szanowna pani, mam nader ciekawą wiadomość!

Wangel. Mianowicie?

Lyngstrand. Pomyślcie tylko państwo, widziałem owego Amerykanina!

Wangel. Amerykanina?

Hilda. Widziałam go także.

Lyngstrand. Szedł tedy, wzdłuż ogrodzenia ku wielkiemu, angielskiemu statkowi.

Wangel. Skąd pan go znasz?

Lyngstrand. Byliśmy na jednym pokładzie. Byłem pewien, że utonął, a teraz wraca jakby zmartwych-wstały.

Wangel. Wiesz pan co o nim bliższego?

Lyngstrand. Nie. Ale przyszedł pewnie, by ukarać swą wiarołomną małżonkę.

Wangel. Co pan mówi?

Hilda. Pan Lyngstrand chce go użyć do swojej rzęby.

Wangel. Nie rozumiem ani słowa...

Ellida. Wytłumaczę ci później.

SCENA VIII.

Ci sami, Boletta i Arnholm, którzy nadechodzą z lewej strony za ogrodzeniem.

Boletta do towarzystwa w ogrodzie. Chodźcie zobaczyć! Statek angielski zawija do fiordu. Widać w dali mknący na falach okręt.

Lyngstrand do Hildy. Dziś w nocy stanie przed nią.

Hilda potakuje. Przed swą wiarołomną małżonką...

Lyngstrand. Pomyśl pani tylko — o północnej godzinie.

Hilda. Chciałabym być z dala świadkiem ich spotkania.

Ellida ściga wzrokiem okręt. Więc jutro...

Wangel. I już nigdy więcej.

Ellida ślącym, drżącym głosem. O, broń mię, przede mną samą!

Wangel patrzy na nią strwożony. Ellido! Lękam się, że za tem się jeszcze coś kryje.

Ellida. Tak kryje się to, co mię nęci i wabi ku sobie.

Wangel. Co cię nęci i wabi?

Ellida. Ten człowiek jest jak morze. Odechodzi wolnym krokiem, pogrążona w myślach. Wangel idzie za nią w niepokoju i śledzi ją bacznie.

AKT CZWARTY.

Pokój narożny w domu Wangla. Drzwi na prawo i lewo. W tyle między dwoma oknami drzwi oszklone, prowadzące na werandę; za werandą widna część ogrodu. Przy lewej ścianie kanapa i stół przed nią. Na środku drugi stół i fotele; na stole wazonie kwitnący krzew różany i inne kwiaty. — Pora przedpołudniowa.

SCENA I.

Na kanapie siedzi Boletta i haftuje. Przy stole obok kanapy siedzi Lyngstrand. Przez oszklone drzwi widać w ogrodzie Ballesteda przy sztalugach. Hilda stoi obok niego:

Lyngstrand siedzi oparty ramionami o stół i przypatruje się chwilę w milczeniu, jak Boletta haftuje. To pewnie bardzo trudno tak wzorzyć się haftować, panno Wangel?

Boletta. O nie, nie tak bardzo. Należy tylko z uwagą liczyć...

Lynstrand. Liczyć? Więc i pani musi tu liczyć?

Boletta. Tak, liczę ścięgi. Patrz pan.

Lyngstrand. Słusznie! Pomyśleć tylko!... To prawie gałęź sztuki w takim razie... Rysuje pani także?

Boletta. O tak, o ile mam wzory.

Lyngstrand. Kopiuje więc pani tylko?

Boletta. Tak, tylko tyle.

Lyngstrand. To właściwie nie wchodzi w zakres sztuki.

Boletta. Nie, to tylko ćwiczenie wzroku i smaku.

Lyngstrand. Mogłaby pani pomyśleć także o samodzielniejszej pracy.

Boletta. Mimo, że nie mam zdolności w tym kierunku?

Lyngstrand. To nie. Gdyby pani pozostawać mogła w ciągłym towarzystwie prawdziwego, szczerzego artysty...

Boletta. Sądzi pan, że mogłabym się czegoś od niego nauczyć?

Lyngstrand. Nie — nauczyć w codziennym tego słowa znaczeniu. Ale przypuszczam, że i pani odczuwałaby tę iskrę natchnienia. To byłby jakby cud.

Boletta. Taby było istotnie niezwykłe.

Lyngstrand po chwilowej przerwie. Myślała już pani kiedy... czy zastanawiała się pani kiedy głębiej i poważniej nad małżeństwem, panno Boletto?

Boletta patrzy nań przelotnie. Nad mał...? Nie.

Lyngstrand. Ja bo już o tem myślałem.

Boletta. Tak? Doprawdy?

Lyngstrand. Tak. Zastanawiam się bardzo często nad podobnymi sprawami, szczególnie nad małżeństwem. Czytałem też wiele o tem. Uważam małżeństwo również za pewnego rodzaju cud. Ta powolna lecz nieustająca zmiana, jakiej podlega żona pod wpływem swego męża, to upodabnianie się do niego...

Boletta. Ma pan na myśli zapewne podporządkowanie się żony mężowi w wspólnych sprawach?

Lyngstrand. Właśnie!

Boletta. A jego skłonności, jego zdolności i rozum?

Lyngstrand. Hm... radbym właśnie wiedzieć, czy i pod tym względem...

Boletta. Przypuszcza pan więc, że wszystko, co sobie mąż przez czytanie — lub pracę myśli zdobydzie, wzbogaci i umysł jego żony?

Lyngstrand. I to możliwe. Jakby drogą powolnego cudu dzieje się to, byle małżeństwo było szczęśliwe, miłujące się i sobie oddane.

Boletta. Czy nie pomyślał pan także kiedyś o tem, że mąż może w podobny sposób upodobnić się do żony, przejąc w siebie treść jej duszy?

Lyngstrand. Mąż? O tem nie myślałem nigdy.

Boletta. Czemużby tu stanowiąc odrębne prawa dla jednej i drugiej połowy małżeństwa?

Lyngstrand. Bowiem mężczyzna ma zadanie do spełnienia, dla którego żyje. I to właśnie, proszę

pani, zaszczepia w nim moc i siłę. On dźwiga w sobie zadanie kształtowania życia.

Boletta. Czy każdy?

Lyngstrand. O nie. To się odnosi głównie do artysty.

Boletta. Czy sądzi pan, że artysta dobrze czyni, poślubiając kobietę?

Lyngstrand. Owszem. Pod warunkiem jednak, że tę kobietę szczerze ukocha.

Boletta. Jestem innego zdania. Myślę, że powinien jedynie sztukę ukochać.

Lyngstrand. Bezwątpienia, ale jedna miłość drugiej nie wyklucza.

Boletta. A ona?

Lyngstrand. Ona? Któż?

Boletta. Zona artysty. Jakież będzie jej zadanie?

Lyngstrand. I ona powinna umiłować sztukę. Przypuszczam, że przy tem może się czuć zupełnie szczęśliwą.

Boletta. Hm... to nie całkiem pewne...

Lyngstrand. Owszem, zapewniam panią. Pomijam już, że uczestniczy w chwale i znaczeniu męża... bo to ostatecznie najmniejsze. Ale to, że ona mu jest podporą przy pracy, że uprzyjemnia mu tę pracę, otaczając go opieką, spokojem, wygodami codziennego życia, to wszystko powinno być dla niej wielkiem szczęściem.

Boletta. O nie domyśla się pan nawet, ile w tych słowach tkwi samolubstwa!

Lyngstrand. Samolubstwa! Miły Boże!... Gdyby mię pani tylko trochę bliżej znała... Pochyla się nieco ku niej. Panno Wangel... gdy mię już tu nie będzie... niezadługo może...

Boletta patrzy nań współczująco. Porzućże pan te ponure myśli.

Lyngstrand. Tak bardzo ponure one nie są.

Boletta. O czem pan mówi?

Lyngstrand. O mojej podróży. Za miesiąc wyjadę stąd, a później na południe.

Boletta. Tak... Rozumiem...

Lyngstrand. Czy będzie pani kiedy wspominała mnie w myśli?

Boletta. Będę... bardzo chętnie.

Lyngstrand uradowany. Przyrzeka mi to pani?

Boletta. Przyrzekam panu.

Lyngstrand. Świącie i niezłomnie, panno Wangel?

Boletta. Świącie i niezłomnie. Zmienionym głosem. Ale pocóż to wszystko! To takie bez celu...

Lyngstrand. Jaka pani dziwna! Dla mnie by to była wielka radość mieć świadomość, że pani tu w domu o mnie kiedyś myśli.

Boletta. I cóż dalej?

Lyngstrand. Co dalej?... To trudno przewidzieć...

Boletta. Tak... prawda... Drogi stoją jeszcze przed nami otworem. Wszystkie niemal drogi...

Lyngstrand. A jednak może się zdarzyć cud. Jakis szczęśliwy zbieg okoliczności, lub coś w tym rodzaju... Bo wierzę w to mocno, że mi szczęście kiedyś się uśmiechnie.

Boletta żywo. Tak, tak! Tej wiary nie powinien się pan nigdy wyrzec.

Lyngstrand. Wierzę w to świącie... A potem gdy za parę lat wrócę... jako światowej sławy rzeźbiarz, bogaty, kwitnący zdrowiem...

Boletta. Tak, tak, miejmy nadzieję.

Lyngstrand. To nadzieja niezawodna. Jeśli pani tylko będzie o mnie myślała stale i wiernie, to ziścić się to musi. Dała mi pani słowo...

Boletta. Dałam. Potrząsa głową. Ale to takie bez celu...

Lyngstrand. Cel będzie przynajmniej ten, że będę z większą ochotą i zapałem pracował w rzeźbie.

Boletta. Sądzi pan?...?

Lyngstrand. Tak, czuję to... Zdaje mi się, że i pa-

nią trochę ożywi myśl, że pani tu, w tym zakątku, pomaga mi w wielkiem dziele.

Boletta. A pan?...?

Lyngstrand. Ja?...?

Boletta wygląda w ogród. Cyt!... Mówmy o czem in-
re. Arnholm nadchodzi.

SCENA II.

Ci sami i nadchodzący zaled Arnholm. Po drodze zatrzymuje się i rozmawia z Hildą i Ballestedem.

Lyngstrand. Widuje pani chętnie swego starego nauczyciela, panno Boletto?

Boletta. Czy go chętnie widuję?

Lyngstrand. Chciałem zapytać, czy go pani lubi?

Boletta. Oczywiście, lubię go. Taki szczery z niego przyjaciel i doradca. Tak chętnie udziela innym pomocy, gdy może...

Lyngstrand. To dziwne, że on się nie ożenił.

Boletta. Takie to dziwne?

Lyngstrand. Oczywiście. Ma być dość zamożny...

Boletta. Zdaje się. Ale myślę, że mu trudno jest znaleźć kobietę, któraby chciała wyjść za niego.

Lyngstrand. Dlaczegoż to?

Boletta. On zna tylko te kobiety, których był kiedyś nauczycielem. Sam to przyznaje.

Lyngstrand. I cóż stąd?

Boletta. Mój Boże, trudno przecie wyjść za człowieka, którego się miało za nauczyciela.

Lyngstrand. Sądzi pani, że młoda dziewczyna nie umie ukochać swego nauczyciela.

Boletta. Póki jest podlotkiem — może!

Lyngstrand. Czy doprawdy pani tak myśli?

Boletta upominająco. No, no, no!

Ballested zbiera w międzyczasie swoje rzeczy i odchodzi w głąb ogrodu.

Hilda pomaga mu.

Arnholm wchodzi przez werandę do pokoju.

SCENA III.

Arnholm, Boletta, Lyngstrand.

Arnholm. Dzień dobry panience. Dzień dobry panu, panie... panie... hm! Ma minę zazdrośną i wita Lyngstranda chłodnym skinieniem głowy.

Lyngstrand wstaje i kłania się.

Boletta wstaje i zbliża się do Arnholma. Dzień dobry, panie kierowniku.

Arnholm. Jak tam dzisiaj u was?

Boletta. Dziękuję; dobrze.

Arnholm. Czy matka znowu w zakładzie kąpielowym?

Boletta. Nie, jest w swoim pokoju.

Arnholm. Czy niezdrowa?

Boletta. Nie wiem. Zamknęła się.

Arnholm. Hm... zamknęła się...

Lyngstrand. Pani Wangel miała wczoraj nieprzyjemności z powodu tego Amerykanina.

Arnholm. Skąd pan o nim wie?

Lyngstrand. Widziałem go, jak zdrow i cały mijał ogród, i opowiedziałem to właśnie pani dobrodziejce.

Arnholm. Tak...

Boletta do Arnholma. Długoście jeszcze wczoraj panowie z ojcem zabawili?

Arnholm. Dość długo. Mówiliśmy o nader poważnej rzeczy.

Boletta. Mówił pan może także o mnie i mojej sprawie?

Arnholm. Niestety — nie. Ojciec był zupełnie pochłonięty czemś innym.

Boletta westchnąwszy. Tak, to mu się często zdarza.

Arnholm z lekkim naciskiem. Pomówimy potem z panią dokładnie o tem. — Gdzie ojciec? Czy w domu?

Boletta. Jest zapewne w biurze. Zawołam go.

Arnholm. Nie, dziękuję. Wolę sam pójść do niego.

Boletta słyszy kroki na lewo. Poczekał pan, panie kierowniku. Zdaje mi się, że słyszę kroki ojca na schodach. Był pewnie na górze, by ją odwiedzić.

SCENA IV.

Gi sami i Wangel, który wchodzi drzwiami bocznymi na lewo.

Wangel podaje rękę Arnholmowi. Jesteś pan już tu, przyjacielu? Dobrze, żeś nie zwlekał, chciałbym jeszcze z panem trochę pomówić.

Boletta do Lyngstranda. Zejdziemy może do ogrodu, do Hildy?

Lyngstrand. Proszę... Bardzo chętnie. Schodzą oboje do ogrodu i znikają w tyle sceny za drzewami.

SCENA V.

Arnholm i Wangel.

Arnholm ściega odchodzących wzrokiem. Zna pan bliżej tego pana?

Wangel. Nie znam go prawie wcale.

Arnholm. I godzi się pan na to, że się ciągle włóczy za Bolettą?

Wangel. Doprawdy? Nie zauważyłem tego.

Arnholm. Zdaje mi się, że na tego rodzaju szczegóły powinno się zwracać uwagę.

Wangel. Zapewne, ale co ja biedak na to poradzę? Dziewczęta przyzwyczyły się do samodzielności, że nie znoszą uwag ani moich ani Ellidy.

Arnholm. Jej także nie?

Wangel. Nie; zresztą nawet trudno tego wymagać od nich. To jasne... Urywa. Ale nie o tem przecie mieliśmy mówić. Czyś pan rozważył to, co panu wczoraj opowiadałem?

Arnholm. Od wczoraj nie myślałem o niczem.

Wangel. Cóż według pana tu poczynać?

Arnholm. Pan, kochany doktorze, jako lekarz jesteś miarodajniejszy ode mnie, laika.

Wangel. Ach, gdybyś pan wiedział, jak trudnym jest zadanie lekarza wobec osoby blizkiej i ukochanej. A przytem to przecie nie zwykła choroba. Nie wystarczy do niej zwykły lekarz, ani zwykłe środki.

Arnholm. Jakże się teraz czuje?

Wangel. Byłem właśnie u niej i wydała mi się dość spokojną. Ale poza tymi chwilowymi nastrojami kryje się choroba, stanowczo dla lekarza niedostępna. A jej chwiejne, co chwila się zmieniające usposobienie, to coś zupełnie dla mnie nieuchwytnego.

Arnholm. To wypływ jej chorobliwego stanu.

Wangel. Nie tylko... Przyczyna tkwi w głębi jej duszy: Ellida należy do plemienia ludzi morskich. I stąd należy wyprowadzać przejawy jej choroby.

Arnholm. Jak pan właściwie rozumie to określenie: ludzie morskcy?

Wangel. Nie zauważył pan, że ludzie mieszkający na wybrzeżu pełnego morza stanowią dla siebie jakby odrębne pleuie? Że żyją życiem olbrzymomorza? Przyptyły i odpływy morza, zmaganie się fal znajdują wierny oddźwięk w ich duszy. Przeszczepić ich na inny grunt, to niepodobieństwo — i z tem należało mi się liczyć. To był grzech wobec Ellidy, odrywać ją od przyrodzonej gleby i tu ją zasklepić.

Arnholm. Dopiero teraz pan to odczuwa?

Wangel. Tak, i to z każdym dniem silniej. Ale powinienem to być pierwiej sobie uświadomić. Choć w zasadzie wiedziałem o tem. Ale tłumiliłem w sobie podobne myśli, bo ją kochałem, namiętnie kochałem i dlatego myślałem przedewszystkiem o sobie. Byłem tak bezgranicznie samolubny w tych pierwszych dniach naszej znajomości!

Arnholm. Hm... to wszyscy bywają tacy... mniej lub więcej samolubni, jakkolwiek u pana nie zauważyłem tego rysu.

Wangel mierzy pokój niespokojnymi krokami. Ale co! Nie otrząsnąłem się z samolubstwa i później. Jestem grubo od niej starszy. Powinienem jej być być ojcem i przewodnikiem zarazem, kształcić jej umysł i serce, a tego zaniedbałem. Zabrakło mi energii i władzy nad sobą! Bo najmilszą mi była taką, jaką właśnie była. A tymczasem stan jej codziennie się pogarszał, a ja chodziłem wobec ciągłych zmian w niej bezradny. Ciszzej. Dlatego napisałem po pana, byś mię wsparł radą w tem nieszczęściu.

Arnholm patrzy nań zdumiony. Co? Dla tego pisałeś pan po mnie?

Wangel. Tak. Tylko, na Boga, nikomu ani słowa o tem.

Arnholm. Hm... nie rozumiem, na co ja się tu mogę przydać...

Wangel. Myślałem wtedy, że serce Ellidy kiedyś do pana należało, i że miłość ta nie całkiem jeszcze wygasła. Spodziewałem się, że może towarzystwo pana i wspomnienie przeszłości przyniesie jej ulgę.

Arnholm. Miałeś więc pan żonę na myśli, pisząc do mnie, że mię ktoś tu oczekuje, z utęsknieniem niemałym?

Wangel. A kogoż?

Arnholm prędko. No, tak, tak, tylko, że nie domyślałem się tego.

Wangel. Oczywiście, oczywiście, zawiodła mię nadzieja.

Arnholm. I nazywasz pan sam siebie samolubnym.

Wangel. Miałem wielką winę do zmazania. Poczuję się do obowiązku użyć wszelkich środków, by jej choć trochę ulżyć.

Arnholm. Czem pan właściwie tłómaczy ten wpływ, który ów obcy na nią wywiera?

Wangel. Hm... mój przyjacielu, ta sprawa posiada strony, które się wprost wyjaśnić nie dadzą.

Arnholm. Wcale nie dadzą się wyjaśnić?

Wangel. Główna przynajmniej przyczyna pozostaje dla mnie niedocieczona.

Arnholm. Wierzy pan w tego rodzaju zagadkowe choroby?

Wangel. Nie wierzę, ani zaprzeczam, nie wiem tylko, gdzie szukać ich źródła.

Arnholm. Jeszcze jedno proszę mi wyjaśnić. Ta jej osobliwa, niezwykła opowieść o oczach dziecięcia; czy to prawda?

Wangel z zapamiętaniem. Nie, stanowczo w to nie wierzę. Nie chcę w tego rodzaju baśni uwierzyć! To czyste złudzenie, nic nadto.

Arnholm. Przypatrzył się pan wczoraj oczom tego człowieka, gdy tu był?

Wangel. Oczywiście, z całą uwagą.

Arnholm. I nie dojrzał pan wcale podobieństwa?

Wangel wymijająco. Hm... miły Boże, co na to można odpowiedzieć? To było prawie o zmroku, a przytem tylekroć Ellida podkreślała, to dziwne podobieństwo, że trudno mi było patrzeć nań bez uprzedzenia.

Arnholm. Zapewne... to słuszne... A jak wytłómaczyć ową trwogę i niepokój, który ją właśnie ogarnął w tym czasie, gdy ów przybysz wracał w te strony.

Wangel. Co do tego, to nie sądzę, aby to się stało tak nagle i niespodzianie, jak ona opowiada. Gdy jej Lyngstrand opowiadał, że Johnston, czy Friman, czy jak się tam nazywa, przed trzema laty, w marcu wybierał się w te strony, poczęła w siebie wmawiać, że ów niepokój w tym właśnie miesiącu ją nawiedził.

Arnholm. Czy nie było tak istotnie?

Wangel. Stanowczo — nie. Drobne objawy i oznaki dawały się już przedtem zauważyć. Ostatecznie... przypadkiem złożyło się... że przed trzema laty właśnie w marcu przyszło do wybuchu...

Arnholm. Więc rzeczywiście w marcu!

Wangel. Ale to można z łatwością wytłómaczyć stanem... okolicznościami... w których się wtedy znajdowała.

Arnholm. A jednak...

Wangel zaciska pięści. I nie móc jej pomódz, być tak bezradnym, obez władzionym!

Arnholm. Możebyście zmienili miejsce zamieszkania? Możeby nowe warunki życia, inne otoczenie zdołało ją oderwać od tego stanu?

Wangel. Ależ, nie sądz pan, że i tego jej nie proponowałem! Wymieniłem jako miejsce naszego przyszłego pobytu Skjoldwik, ale i to odrzuciła.

Arnholm. Odrzuciła?

Wangel. Tak. Uważała to za bezcelowe... i zapewne się nie myli.

Arnholm. Hm... więc i pan tak sądzi?

Wangel. Tak... prócz tego, ilekroć się nad tem bliżej zastanawiam, ogarniają mię coraz większe wątpliwości, czy to się da urzeczywistnić, bo czem usprawiedliwię to przed dziewczętami, że się przenoszę do takiego zakątka. Muszą przecie żyć w miejscowości, w którejby się choć nieznacznie nastęrczały widoki, że będzie można im przyszłość zabezpieczyć.

Arnholm. Już o przyszłości ich pan myśli?

Wangel. Mój Boże, muszę chyba to czynić. A z drugiej strony... znowuż wzgląd na mą nieszczęśliwą, chorą Ellidę... Ach, mój drogi przyjacielu, jestem w położeniu, z którego doprawdy nie łatwo się wydostać.

Arnholm. Co do Boletty mógłbyś pan ostatecznie być spokojnym... Urywa. Rąbryn wiedzieć, dokąd poszła... Staje w otwartych drzwiach i wygląda.

Wangel zamyślony. Ach, poświęciłbym się tak chętnie za nie... za wszystkie trzy... gdybym tylko wiedział jak...

SCENA VI.

Ci sami i Ellida wchodzi drzwiami na lewo.

Ellida prędko do Wangla. Nie wychodź dziś przed południem z domu!

Wangel. Nie, nie... Zostanę z tobą w domu. Wskazuje na Arnholma. Nie przywitasz się z naszym przyjacielem, Ellido?

Ellida zwraca na Arnholma spojrzenie. Ach, to pan, panie Arnholm... Podaje mu rękę. ...Dzień dobry.

Arnholm. Dzień dobry, szanowna pani. Dziś wyrzekliśmy się kąpieli?

Ellida. Tak, tak, tak! O tem dziś mowy niema. Ale czemuż pan nie siada?

Arnholm. Dziękuję bardzo... Spogląda na Wangla. Umówiliśmy się z panienkami, że zjedziemy się w ogrodzie.

Ellida. Kto wie, czy je pan zastanie w ogrodzie. Ja nigdy nie wiem na pewno, gdzie one są.

Wangel. Muszą być gdzieś nad stawem.

Arnholm. Już je odnajdę w ogrodzie. Kłania się i wychodzi na prawo, przez werandę do ogrodu.

SCENA VII.

Wangel, Ellida.

Ellida. Która godzina, mój kochany?

Wangel patrzy na zegarek. Kilka minut po jedenastej.

Ellida. Kilka minut po jedenastej... A o jedenastej... pódł do dwunastej parowiec zacznie gotować się do drogi... Ach gdybyż to już przebyć!

Wangel zbliża się do niej. Kochana, o jednobym cię jeszcze zapytał...

Ellida. O cóż?

Wangel. Przedwczoraj wieczór, gdyśmy byli na polanie w lesie, opowiadałaś mi, że w ciągu ostatnich

trzech lat widywałaś go nieraz, jak żywego przed oczyma.

Ellida. Tak, to prawda, wierzaj mi.

Wangel. Jakże widziałas go wtedy?

Ellida. Jak go widziałam?

Wangel. Chciałem właściwie zapytać, jakim ci się wydawał wówczas, gdy stawał przed tobą, jakby żyw.

Ellida. Widziałas go przecie i wiesz jak wygląda.

Wangel. Więc przedstawiał ci się w wyobraźni podobnie jak teraz?

Ellida. Tak, zupełnie tak samo.

Wangel. Zupełnie tak samo... A czemuż nie poznałaś go w pierwszej zaraz chwili, gdy się zjawił?

Ellida zdumiona. Nie poznałam go?

Wangel. Nie. Przyznałaś później sama, żeś w pierwszej chwili nie wiedziała, co to za człowiek.

Ellida strapiiona. Masz słuszność, tak, tak! Jakie to zagadkowe, mój drogi! Pomyśl tylko, że nie poznałam go zaraz!

Wangel. Mówiłaś, że tylko oczy cię uderzyły...

Ellida. Ach tak, oczy! te oczy!

Wangel. A wówczas na polanie twierdziłaś, że widywałaś go w wyobraźni takim, jakim był przed dziesięciu laty, w chwili waszego rozstania.

Ellida. Tak mówiłam?

Wangel. Tak.

Ellida. Wyglądał więc wtedy tak, jak teraz.

Wangel. Nie. Przedwczoraj, gdyśmy wracali do domu, opisałaś mi go zupełnie inaczej. Przed dziesięciu laty był bez zarostu, zupełnie inaczej ubrany... A tej perły, o której opowiadałaś, również nie miał wczoraj.

Ellida. Tak, nie miał jej.

Wangel patrzy na nią badawczo. Namysł się tedy, Ellido. Czy też może nie możesz sobie przypomnieć, jak wtedy, gdy cię zęgnął, wyglądał?

Ellida namyśla się; przymyka oczy i mówi po chwili. Bardzo niejasny mam obraz, całkowicie niemal zatarty. Czy to nie dziwne?

Wangel. Nie bardzo... Ten nowy rzeczywisty człowiek zastąpił sobą owego starego z przed dziesięciu laty i stąd przemiana w twojej pamięci.

Ellida. Czy to prawda?

Wangel. Bez wątpienia, moja droga. To wpłynęło także na cały ten chorobliwy stan, który cię nawiedził. I dobrze się stało, żeś go w rzeczywistości ujrziała.

Ellida. Dobrze! Sądziś, że dobrze?

Wangel. Tak, może cię to uzdrowi, rozprószy mętne wspomnienia.

Ellida siada na kanapie. Siadaj tu, przy mnie. Opowiedz mi wszystko, co o tem myślę.

Wangel. Proszę cię o to bardzo, Ellido. Siada na krześle obok kanapy.

Ellida. Właściwie, to dla nas obojga było wielkie nieszczęście, że nasze drogi musiały się zejść.

Wangel drgnął. Cóż znowu!

Ellida. Tak. I nie należy się temu bardzo dziwić, że z tego wyrosło nieszczęście, gdy uwzględnimy sposób, w jaki się skojarzyliśmy.

Wangel. Co masz do zarzucenia sposobowi, w który się skojarzyliśmy.

Ellida. Posłuchaj mię, Wangel, porzućmy już w końcu to wzajemne okłamywanie się...

Wangel. Okłamywanie się?! Czy my się okłamujemy?

Ellida. Tak, tego nie można zaprzeczyć. Bo... w najlepszym razie ukrywamy prawdę. Bo prawdą — prawdą czystą i niekłamana — jest, żeś ty mię sobie kupił.

Wangel. Kupiłem cię?! Jak możesz w ten sposób mówić!

Ellida. Ja też nie byłam o włos lepszą od ciebie. Przestałam na to i sprzedawałam ci się.

Wangel patrzy na nią bolesnym spojrzeniem. **Ellido,** masz odwagę takie miano nadawać naszemu związkowi? **Ellida.** Ależ na to niema inej nazwy! Próżnia w twoim domu stała ci się nieznośną, więc ogłądnałeś się za drugą żoną...

Wangel. I za drugą matką dla dzieci, Ellido.

Ellida. Może i to — przy tem. Prawdę mówiąc, nie wiedziałeś wcale, czy się do tego zadania nadaję. Widziałeś mię parę razy i rozmawiałeś z mną. Potem zaczęłam ci się podobać i w końcu...

Wangel Nie wahaj się, mów dalej.

Ellida. A z drugiej strony ja bezradna i sama jedna na świecie — cóż miałam począć? Przestałam, gdyś w końcu ofiarował mi się przeprowadzić mię przez życie.

Wangel. Ja to pojmowałem inaczej, nie jak opiekę. Zapytałem cię, czy jesteś gotowa zamieszkać ze mną i z mojami dziećmi pod moim dachem i dzielić z nami skromny nasz dobytek.

Ellida. Tak, pytałeś mię o to, ale ja nie powinnam się była zgodzić -- za żadną cenę. Nie powinnam była się sprzedawać! Lepiej było jąć się najprostszej roboty, znosić niedostatek, byle nie kłamać swej woli, swej duszy!

Wangel wstaje. Czy tych pięć, czy sześć lat, które spędziliśmy razem, poszły tak całkiem dla ciebie na marne?

Ellida. Ależ nie, mój drogi! Dom twój był dla mnie wymarzonem miejscem pobytu, ale nie wprowadziła mię do niego własna wola — oto wszystko.

Wangel i pogląda na nią. Nie — własna wola?!

Ellida. Nie, nie poszłam za tobą z własnej woli.

Wangel ciszej. Ach, stał ten zwrot od wczoraj.

Ellida. Tak ten zwrot jest bardzo ważny. Od tej chwili przejrzałam wiele i uświadomiłam sobie wiele.

Wangel. Cóżes przejrzała?

Ellida. Przejrzałam, że nasz związek — właściwie nie jest małżeństwem.

Wangel z goryczą. To niestety prawda. Nasz związek od niedawna przestał być małżeństwem.

Ellida. Nie był niem nigdy... Patrzy przed siebie. Tamto — to mogło być prawdziwe, zupełne małżeństwo.

Wangel. Tamto? Któż to?

Ellida. Tamto — z nim!

Wangel patrzy na nią zdumiony. Nie rozumiem ani słowa!

Ellida. Mój drogi, przestańmyż się raz okłamywać!

Wangel. Przypuśćmy... I cóż dalej?

Ellida. Otóż to, że musimy przyznać, że samo przyrzeczenie, obustronnie uczynione, nieraz może posiadać wagę ślubu.

Wangel. Ależ na Boga!...

Ellida wstaje gwałtownie. Puść mię od siebie, Wangel!

Wangel. Ellido!... Ellido!...

Ellida. Puść mię... to jedyny dla nas wyjście.

Wangel tłumiąc wewnętrzny ból. Do tego więc musiało między nami dojść!

Ellida. Musiało do tego dojść, wierzaj mi.

Wangel patrzy na nią pośpiesznie. Więc łudziłem się tyle lat! Nie byłaś nigdy moją.

Ellida. Wangel, gdybym cię ukochać mogła, tak gorąco i szczerze jak na to zasługujesz, czułabym się prawdziwie szczęśliwą. Ale mam tę smutną pewność, że to niepodobienstwo.

Wangel. Więc rozwód? Domagasz się sądowego rozwodu?

Ellida. Mój drogi, jak ty mię nie rozumiesz! Forma jest mi zupełnie obojętna. Pragnę, abyśmy oboje zgodnie przystali na rozstanie się.

Wangel z goryczą potakuje głową. Cofniemy więc kupno — co?

Ellida ożywiona. Otóż tak! Cofnijmy kupno!

Wangel. A co potem, Ellido? Co potem? Czyś pomyślała, co nas oboje potem czeka? Jak popłynie nasze dalsze życie?

Ellida. To obojętne, nie dbam o przyszłość. O jedno cię błagam i proszę, o rzecz najważniejszą: zwolnij mię, przywróć mi wolność!

Wangel. Ellido, to żądanie wprost potworne! Daj mi choć trochę czasu do namysłu. Zastanówmy się nad tem! Namysł się i ty nad tem, czego się domagasz.

Ellida. Na to niema czasu! Muszę jeszcze dziś wolność odzyskać!

Wangel. Dlaczegoż dziś właśnie?

Ellida. Bo on dziś do mnie przyjdzie.

Wangel zdumiony. On?! Cóż on cię obchodzi?

Ellida. Chcę przed nim stanąć wolna i niekrępowana.

Wangel. A cóż potem uczynisz?

Ellida. Nie chcę się uciekać do wymówek, że jestem żoną innego, że nie mam możliwości wyboru.

Wangel. O wyborze mówisz, Ellido! Wybór! Jak tu możesz myśleć o wyborze?!

Ellida. Tak, muszę mieć wolność wyboru, niekrępowaną. Muszę go odprawić samego, albo też pójść za nim.

Wangel. Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?! Pójdiesz za nim! Przyszłość swą złożyš w jego rękę!

Ellida. Złożyłam ją przecie i w twoim — i to bez zastrzeżeń!

Wangel. Tak, tak. Ale to przecie zupełnie obcy człowiek, którego prawie wcale nie znasz.

Ellida. I ty byłeś zupełnie obcym i nieznanym, a jednak uprowadziłeś mię z sobą.

Wangel. Idąc z mną, wiedziałaś choć w przybliżeniu, jaka cię czeka przyszłość. A teraz? Czy wiesz dokąd cię poprowadzi, czy wiesz kto on i skąd on?!

Ellida w zamyśleniu. To prawda i w tem leży właśnie groza mego położenia.

Wangel. To istotnie grozą przejmuję.

Elida. I to mię właśnie niewoli, by pójść za nim.

Wangel. Ta groza?

Elida. Tak. Ona.

Wangel zbliża się do niej. Posłuchaj mię, Ellido, jak sobie właściwie tłómaczysz tę grozę?

Elida po namyśle. Grozę? Jako coś, co wzbudza trwogę i urok zarazem.

Wangel. Także urok?

Elida. I głównie urok.

Wangel powoli. Jesteś spokrewnioną z morzem.

Elida. I w tem leży groza.

Wangel. Bo i w tobie ona leży: budzisz trwogę i urok zarazem.

Elida. Tak sądzisz?

Wangel. Nie znałem cię nigdy dobrze, do głębi. Teraz to poczynam rozumieć.

Elida. Dlatego też musisz mię zwolnić! Oswobodzić z wszystkiego, co jest tobą i co twojem jest. Nie jestem tą, za którą mię uważałeś — widzisz to wyraźnie. Teraz możemy się rozstać we wzajemnem rozumieniu siebie i we wzajemnej zgodzie.

Wangel zgnębiony. Toby było dla nas obojga naj-
lepszem może, gdybyśmy się rozstali, ale nie mogę,
nie zdobędę się na to nigdy! Tyś dla mnie oną
grozą, Ellido, urokiem, co od ciebie bije niepoko-
naną falą.

Elida. I cóż?

Wangel. Podaruj mi jeszcze jedyny dzień dzisiejszy. Zastanówmy się z całym spokojem nad tem wszyst-
kiem. Dziś nie mogę cię oswobodzić. Nie mogę
i nie wolno mi, ze względu na ciebie, Ellido. Powo-
łuję się na swe prawo i obowiązek, by cię bronić.
Ellido.

Elida. Bronić? Przed czemże bronić? Z zewnątrz
nie grozi mi żadna przemoc ni niebezpieczeństwo.

Niebezpieczeństwo ma głębsze źródło, ono leży
w mojej własnej duszy. I cóż ty na to poradzisz?

Wangel. Mogę cię w walce z niebezpieczeństwem
wzmocnić i pokrzepić.

Elida. Ależ ja nie chcę walki ze sobą.

Wangel. Nie chcesz?

Elida. Nie... wiem... nie wiem sama.

Wangel. Dziś nocą wszystko się rozstrzygnie, droga
Ellido...

Elida z nagłym okrzykiem. Ta myśl, że wyrok jest
tak blizki! Wyrok na całe życie!

Wangel. ...A jutro...

Elida. Jutro?! Może jutro stanę na grobie własnej
przyszłości!

Wangel. Przyszłości!

Elida. Na grobie mego życia i wolności i wszyst-
kiego! A może i dla niego to będzie grób!

Wangel cichym głosem, biorąc ją za rękę. Ellido, ty go ko-
chasz?

Elida. Czy go?... Cóż ja wiem?! Wiem tyle, że
w nim jest groza, i że...

Wangel. Że co?

Elida wrywa się. Że należą do niego, jak mi mówi
sumienie.

Wangel pochyla głowę. Zaczynam teraz rozumieć...
wszystko niemal.

Elida. I cóż na to poradzisz? Jakie masz środki,
by mię ratować?

Wangel patrzy na nią ze smutkiem. Jutro? jego okręt
odpływa, a z nim nieszczęsny los, który nad nami
zawisł. Potem jestem gotów cię zwolnić i cofnąć
kupno, Ellido.

Elida. Ach, jutro... jutro będzie zapóźno!

Wangel wygląda na ogorała. Moje dzieci! dzieci! oszczędź-
myż ich przynajmniej.

SCENA VIII.

Ci sami, Arnholm, Boletta, Hilda i Lyngstrand, wszyscy czworo pojawiają się w ogrodzie. Lyngstrand żegna się z nimi i odchodzi na lewo; reszta wchodzi do pokoju.

Arnholm. Ułożyliśmy teraz kilka nowych planów...

Hilda. Dziś wieczór wybieramy się na morze...

Boletta. Nic nie mów!

Wangel. I my mamy nowe plany.

Arnholm. Także?

Wangel. Jutro Ellida wyjeżdża do Skjoldwik... na pewien czas.

Boletta. Wyjeżdża?

Arnholm. To bardzo dobra myśl, moi państwo.

Wangel. Ellida tęskni za domem, za morzem.

Hilda rzuca się ku Ellidzie. **Jedziesz! Jedziesz od nas!**

Ellida. Ależ Hilda! Co ci to?!

Hilda opanowuje się. **O, nic. Półgłosem, odwróciwszy się. Jedź już raz!**

Boletta pełna łęku. **Ojcie — czytam to w twoich oczach — ty jedziesz także... do Skjoldwik.**

Wangel. Skądże?! Od czasu do czasu będę tam zaglądał...

Boletta. A my?

Wangel. I do was będę zaglądał...

Boletta. Także... od czasu do czasu!...

Wangel. Kochane dziecię, tak być musi. Chodź nie spokojnymi krokami wzdłuż tylnej ściany.

Arnholm półgłosem do Boletty. **Pomówimy bliżej później. Zbliża się do Wanga i rozmawia z nim półgłosem.**

Ellida przytłumionym głosem do Boletty. **Co się stało Hildzie? Była jak nieprzytomna.**

Boletta. Nie zauważyłaś za czem Hilda dniem i nocą łaknie?

Ellida. Łaknie?

Boletta. Od czasu twojego przybycia?

Ellida. Nie, nie — czegoż to?

Boletta. Jednego czulego słowa od ciebie!

Ellida. Ach! Miałażbym to zadanie do spełnienia. Spłata ręce nad głową i patrzy przed siebie, jakby miotana sprzecznymi myślami i uczuciami.

Wangel i Arnholm chodzą po pokoju, rozmawiając szeptem.

Boletta zagląda do pokoju na prawo i otwiera drzwi. **Obiad na stole, ojcie, możemy...**

Wangel usiłuje zachować spokój. **Doprawdy, moje dziecię? To dobrze. Proszę, panie kierowniku. Wychylimy teraz kieliszek na pożegnanie... »kobiety morskiej.«**

Odchodzą na prawo.

AKT PIĄTY.

Scena jak w akcie trzecim. Zapada wieczór letni.

SCENA I.

Arnholm, Boletta, Lyngstrand i Hilda poruszają się powoli na łódce wzdłuż wybrzeża. Później Ballested.

Hilda. Teraz możemy całkiem śmiało skoczyć na ląd!

Arnholm. Zostaw to pani!

Lyngstrand. Nie umiem skakać, panno Hildo.

Hilda. A pan kierownik umie skakać?

Arnholm. Wolę nie próbować.

Boletta. Wylądujemy po drugiej stronie. Płyną na prawo.

Ballested nadchodzi ścieżką na prawo, ma w ręku nuty i trąbę. Na widok płynących w łódce, zwraca się ku nim, kłania się i zaczyna rozmowę. Tu i ówdzie słyszczy urywane słowa odpowiedzi. **Co proszę? — Oczywiście, to na pożegnanie statku angielskiego. Ostatni raz w tym roku tu zawija. — Muzyka niezadługo zacznie grać, nie zwlekajcież państwo. Głośniejsze. Co? Potrząsa głową. Nie słyszę...**

SCENA II.

Ellida z szaleem na głowie nadchodzi z lewej strony wraz z Wanglem. Ballested.

Wangel. Ależ zapewniam cię, moja droga, że to jeszcze za wcześnie.

Ellida. Nie, nie; nie jest za wcześnie. Może każdej chwili nadejść.

Ballested z za płotu. Dobry wieczór państwu! Cautuję rączki pani dobrodziejce!

Wangel spostrzega go. To pan? Będziemy mieli muzykę dziś wieczór?

Ballested. Tak, orkiestra dziś się popisze. Z okazji odjazdu parowca spróbujemy dziś swych sił.

Ellida. Czy już zawinął do fiordu?

Ballested. Nie jeszcze, ale niebawem powinien się zjawić — zanim się spostrzeżemy.

Ellida. Tak... tak...

Wangel na pół do Ellidy. To ostatnie jego przybycie, więcej go już nie ujrzymy.

Ballested. Smutne to słowa, panie doktorze. Dlatego też chcemy mu okazać współczucie. Tak, tak radosne dni lata chyła się ku końcowi. Niezadługo zamkną się wrota morza, jak mówi podanie.

Ellida. Zamkną się wrota morza, jak powiadają.

Ballested. Smutne to zaiste. Tygodniami i miesiącami byliśmy wesołymi dziećmi lata, a teraz nastaje pora mroków i zimna... trudno się będzie do tego przyzwyczaić... w pierwszym szczególnie czasie, ale człowiek może się we wszystkim zaaali...a...klimatyzować, łaskawa pani. Tak... może... Kłania się i odchodzi na lewo.

SCENA III.

Wangel, Ellida.

Ellida patrzy ku fiordowi. Ach, ta męka oczekiwania! Ten niepokojący kwadrans przed zapadającym wyrokiem.

Wangel. Postanowiłaś tedy nieodmiennie sama z nim się rozmówić?

Ellida. Muszę sama z nim pomówić. Muszę wybór uczynić własnowolnie.

Wangel. Nie możesz wybierać, Ellido. Nie masz wogóle prawa wyboru, bo ja ci go odmawiam.

Ellida. Wyboru nie możesz mi odjąć. Ani ty, ani nikt wogóle. Możesz mi wzbronić pójść za nim, gdyby tak wypadł mój wybór, możesz nawet użyć przemocy, by mię powstrzymać — wbrew mojej woli. Ale wyboru — który wypaść może na jego rzecz, a nie na twoją, tego mi nie odejmiesz.

Wangel. Masz słuszność. Tego ci odjąć nie mogę.

Ellida. A przytem niema jednego głosu, któryby mię wołał w przeciwną stronę. Tu, w tym domu, niema nic, coby mię nęciło, lub do siebie przykuwało. Niema najniklejszej nici, któraby mię wiązała z tym domem. Dzieci, nie są mojami; one mię nigdy nie uznawały. Gdy odjadę, a raczej gdybym odjechała — czy to z nim dziś w nocy — czy jutro do Skjoldwik — nie wydam żadnego polecenia, nie oddam żadnego klucza, tak dalece jestem tu obcą, oderwaną od wszelkiej z tym domem łączności... od chwili mego przybycia pod ten dach.

Wangel. Tyś sama tak chciała.

Ellida. Nie, nie chciałam, ani nie chciałam. Zostałam wszystko, jak było; nie wprowadzałam zmian — gwoli twojej woli.

Wangel. Chciałem tego, ze względu na twoje dobro.

Ellida. Ach, mój drogi, nie wątpię! Ale ta bierność się mści, wydaje owoce. Bo oto teraz nie staje nam łącznika, punktu oparcia i pomocy, coby nas zachowała od wstrząśnienia w chwili nadciągającej burzy.

Wangel. Nie przeczę, Ellido. I dlatego przywrócę ci jutro wolność. Rozpocznieś okres życia własnego, niekrępowanego.

Ellida. I to nazywasz własnem życiem! Moje własne, prawdziwe życie wykolciło się — w chwili, gdy zgodziłam się na współżycie z tobą. Łamię ręce, pełna trwogi i niepokoju. I teraz — tej nocy — za pół godziny — zjawi się ten, któremu nie dochowałam wiary, którego nie powinienam była zapomnieć, jak on mnie nie zapomniał! Teraz oto się jawi i poraz ostatni, pokazuje mi drogę własną i moją drogę, którą się od początku jeszcze raz potoczyć może me życie, strachem przejmujące i urokiem — a którego się wyrzec nie mogę. Z własnej woli — nie!

Wangel. Dlatego też jest nieodzownem, by twój mąż i twój lekarz, swobodę ci teraz odjął i cię wyręczył.

Ellida. Rozumiem to... I wierzę mi, że bywają chwile, w których twoje ramię i twoja pomoc wydaje mi się ocaleniem i cichą przystanią — przed temi strasznymi i pełnymi uroku potęgami, ale teraz o tem zapominam, teraz — nie.

Wangel. Chodź, Ellido, przejdziemy się trochę.

Ellida. Poszłabym chętnie, ale nie mogę; kazał mi tu na siebie czekać.

Wangel. Chodź, dość jeszcze czasu.

Ellida. Doprawdy?

Wangel. Dość jeszcze, powtarzam.

Ellida. Chodźmyż. Odechodzą na prawo, ku przodowi sceny.

SCENA IV.

Arnholm i Boletta nadechodzą z nad brzegu stawu, na prawo.

Boletta na widok odechodzących. Patrz pan!

Arnholm łagodnie. Ciszej! Niech idą!

Boletta. Domyśla się pan, co między nimi w ostatnich dniach zaszło?

Arnholm. Zauważyła coś pani?

Boletta. O i wiele!

Arnholm. Coś niezwykłego?

Boletta. Rozmaicie... A pan?

Arnholm. Nie wiem właściwie sam...

Boletta. Niewątpliwie i pan coś zauważył, ale nie chcesz się zdradzić.

Arnholm. Spodziewam się, że ta mała podróż sprawi jej ulgę.

Boletta. Czy doprawdy?

Arnholm. Przypuszczam, że to pożądanem jest wogóle dla was wszystkich, aby ona od czasu do czasu szukała samotności.

Boletta. Skoro tylko się dostanie raz do Skjoldwik, to już z pewnością tu jej nie ujrzymy.

Arnholm. Skądże ta myśl, Boletto?

Boletta. Jestem tego pewną. Zobaczy pan — nie wróci. Jak długo przynajmniej ja i Hilda jesteśmy tu w domu.

Arnholm. Hilda także?

Boletta. No, z Hildą by się może już nie liczyła, bo ona jeszcze dziecko prawie, zakochane w niej — mimo pozory — po uszy. Ale co do mnie, rzecz się ma inaczej. Matka druga, która nie o wiele jest starszą od pasierbicy...

Arnholm. Co do tego, to może niedługo tu pani jeszcze zabawi.

Boletta z żywością. Co pan mówi! Rozmawiał pan o tem z ojcem?

Arnholm. Tak... onegdaj.

Boletta. I cóż odpowiedział?

Arnholm. Hm... doktor ma tyle kłopotów w ostatnich dniach...

Boletta. Przepowiedziałam to panu.

Arnholm. Wydobyłem jednak z niego tyle, że na jego pomoc nie może pani wcale liczyć.

Boletta. Nie?

Arnholm. Omawiał ze mną wszechstronnie swoje stosunki i oświadczył mi co do pani, że to niepodobieństwo.

Boletta z wyrzutem. I przed chwilą tak sobie pan nie miłosierdnie ze mnie zakpił?

Arnholm. Nie kpiłem, Boletto. Zależy to od pani, czy masz zostać tu, czy też nie.

Boletta. Co ode mnie zależy?

Arnholm. Czy pani ma nareszcie ujrzyć raz świat, zdobyć te wiadomości, których pani łaknie i uczęstniczyć w tem wszystkim, czego pani dom jest zaprzeczeniem! Życie wśród radosnej pogody — życie, którego treścią jest — życie, to stoi przed panią otworem. Cóż pani na to?

Boletta załamując w zachwycie ręce. O, miły Boże, gdyby to było możliwe! Skoro ojciec nie chce i nie może... nie mam przecie nikogo, któryby mi to uprzystępniał.

Arnholm. A nie dałaby się pani nakłonić do przyjęcia pomocy ze strony swego sta... byłego nauczyciela?

Boletta. Od pana? Byłbyś pan skłonnym?...

Arnholm. By pani być pomocnym? Z serdeczną ochotą, słowem i czynem. Może mi pani zaufać. Jakże? Więc zgoda?

Boletta. Jeszcze pan pyta?! Wydostać się na świat, rozszerzyć i pogłębić swoje wiadomości! Ujrzyć marzenie, zaklęte w rzeczywistość!...

Arnholm. Tak, to wszystko może się stać teraz rzeczywistością, jeśli pani przyzwoli.

Boletta. I pan mi chce pomóc do osiągnięcia tak wielkiego szczęścia! Ale... proszę pana... czy mogę przyjąć taką ofiarę od obcego człowieka?

Arnholm. Ode mnie może ją pani przyjąć. Ode mnie może pani wszystko przyjąć.

Boletta ścisła jego ręce. Tak, i ja tak myślę! Nie wiem doprawdy... Donośniej! Ach, śmiałabym się i łkała z radości i szczęścia! Poznam wreszcie życie! Poczytałam się już bać, że mię ono minie, że go nie ujrzę.

Arnholm. To płonna była obawa... Ale jeszcze jedno musi mi pani szczerze wyznać: czy nic... nic pani tu nie wiąże?

Boletta. Czy mię coś wiąże? Nie, nic.

Arnholm. Z pewnością nic?

Boletta. Nie... Pominąwszy oczywiście miłość do ojca i Hildy...

Arnholm. Ojca musiałaby pani i tak opuścić, prędzej czy później. A Hilda także porzuci kiedyś wspólne ognisko — to wszystko jest tylko kwestyą czasu. Poza tem jest pani tedy wolną od wszelkich więzów, Boletto? Nic w tym rodzaju nie stoi pani na przeszkodzie?

Boletta. Nic. Jeśli o to chodzi, mogę jechać, dokąd zechcę.

Arnholm. Wobec tego — pojedzie pani ze mną.

Boletta uderza w dłoń. O, Boże, co to za szczęście!

Arnholm. Myślę, że mi pani ufa — zupełnie?

Boletta. O, zupełnie!

Arnholm. Nie lęka się tedy pani powierzyć mi siebie i swoją przyszłość?

Boletta. Oczywiście, że nie! Czemużby nie? Nie powinien pan nawet wątpić! Odmówić zaufania swemu staremu — dawnemu chciałam powiedzieć — nauczycielowi?!

Arnholm. Nie o to chodzi, to stosunkowo rzecz mniejszego dla mnie znaczenia. Ale... jesteś pani teraz wolną, Boletto, nic pani nie krępuje... Czy... czy nie zechciałaby pani związać się teraz ze mną — na całe nasze życie?

Boletta cofa się przerażona. Ach! Co pan mówi?!

Arnholm. Czy chce pani zostać moją żoną, Boletto?

Boletta na pół do siebie samej. Nie! Nie! To niepodobieństwo! Niemożliwe!

Arnholm. Czy to doprawdy niepodobieństwo?

Boletta. Nie mówi pan chyba poważnie, panie kierowniku! Patrzy nań. A może też... z tego tytułu, ofiarowywał mi pan swą pomoc?

Arnholm. Zechce pani jeszcze wysłuchać kilka wyjaśnień, panno Boletto. Jak widzę zaskoczyły panią moje słowa.

Boletta. Nie przeczę... Takie słowa, od pana pochodzące, musiały mię zdumieć.

Arnholm. Możliwe. Nie wiedziała pani, nie mogła pani zapewne wiedzieć, że przybyłem tu dla pani.

Boletta. Dla mnie pan przybył?!

Arnholm. Tak, Boletto. Na wiosnę otrzymałem list od ojca pani, w którym wyczytałem kilka uwag tego rodzaju, że z nich mogłem wywnioskować, iż żywi pani dla swego byłego nauczyciela nie tylko życzliwą pamięć, ale może i coś więcej.

Boletta. Jak ojciec mógł tak pisać!

Arnholm. Ojciec nie to miał na myśli. Ale ja żyłem się z tą nadzieją, że tu czeka mego przybycia — ktoś — moja była uczenica... Nie, nie przerywaj mi pani teraz, proszę o to... I widzi pani, gdy się już przekroczyło próg młodości, gdy się już przestaje wierzyć w tego rodzaju powodzenie, wywiera taka myśl, czy też złudzenie, wrażenie bardzo głębokie. Obudziło się we mnie silne, pełne wdzięczności uczucie dla pani. I wówczas postanowiłem tu przy-

jechać, ujrzeć panią i powiedzieć, że odwzajemniam uczucie, które jak się łudziłem, pani dla mnie żywi.

Boletta. Ale teraz skoro pan widzi, że to złudzenie...

Arnholm. Ono mnie nie uleczy. Obraz pani, który w głębi duszy noszę, nie zatrze się przez to, ani nie zatraci siły budzenia we mnie uczuć. Może mnie pani nie zrozumie, ale mówię prawdę.

Boletta. Nie spodziewałam się nigdy tego...

Arnholm. Stało się jednak, wbrew nadziei pani. Cóż pani teraz na to? Czy nie mogłabys mi oddać swej ręki?

Boletta. Wydaje mi się to niepodobieństwem. Pan, mój były nauczyciel... Nie mogę sobie pana inaczej wyobrazić...

Arnholm. Jeśli to pani uważa za niepodobieństwo — to trudno. Ale nie wpłynię to bynajmniej na to, o czym mówiliśmy.

Boletta. Jak to?

Arnholm. Dotrzymam przyrzeczenia: postaram się o to, aby się pani stąd wydosłała i ujrzała kawałek świata. Nabędzie pani trochę wiadomości, za którymi tęsknisz. Utworzę dla pani warunki niezależnego i spokojnego życia i zabezpieczę pani także dalszą przyszłość. Będzie pani we mnie miała zawsze dobrego i wiernego przyjaciela. O tem powinna pani pamiętać.

Boletta. Ależ, mój Boże, to wszystko teraz już stać się nie może.

Arnholm. Dlaczegoż?

Boletta. To chyba jasne! Po tem, co pan tu mówił, i po mojej odpowiedzi... Przyzna pan sam teraz, że nie mogę takich olbrzymich ofiar od pana przyjmować! Nie mogę teraz nic od pana przyjąć — po tem wznananiu!

Arnholm. Woli więc pani w tym zakątku zostać i wyrzec się życia?

Boletta. Ach, to okropna myśl!

Arnholm. Wyrzeka się pani tedy wszystkiego, co życiem jest i życie tworzy? Zapomni pani o swej tęsknocie do świata i wiedzy? Zadowoli się pani świadomością, że tyle jest bogactwa i treści w życiu, i że pani odmówiono w niem udziału? Rozważ to pani dobrze.

Boletta. Ma pan słuszność, panie kierowniku, pod wielu względami.

Arnholm. A potem, gdy kiedyś ojca pani nie stanie, zostanie pani samotna i opuszczona na świecie... Lub też powierzy się pani mężczyźnie, który — być może — będzie pani również obojętny.

Boletta. Tak, muszę przyznać, że to prawda... ale mimo to!... A może i?...

Arnholm prędko. Cóż?

Boletta spogląda nań niepewna. Może to : nie takie trudne...

Arnholm. Boletto!

Boletta. Gdybym się zgodziła na to, co pan mi ofiaruje...

Arnholm. Cóż pani wybierze? Nie odrzuci więc pani ofiary szczerego przyjaciela?

Boletta. Ależ nie to! Nigdy! To wykluczone! Wolę już zostać sama pańską...

Arnholm. Boletto! Więc przyzwala pani!

Boletta. Tak... myślę, że... tak.

Arnholm. Zostanie więc pani moją żoną!

Boletta. Tak. Skoro pan sądzi, że możesz mię pojąć...

Arnholm. Czy mogę!... ścisła jej dłoń. O, dzięki, serdeczne dzięki! Pani wahanie się i niepewność nie tworzy mię. Jeśli serce pani nie należy w całości do mnie, to potrafię je zdobyć. Boletto, stworzę pani raj na ziemi.

Boletta. Ruszę więc w świat. Poznam życie i użyję go. Obietnicy pan dotrzyma?

Arnholm. Dotrzymam.

Boletta. I będę mogła wszystkiego się uczyć, czego zapagnę?

Arnholm. Będę sam nauczycielem pani — jak przed laty. Przypomnij sobie pani ostatni rok nauki...

Boletta ze spokojem i w zamyśleniu. Tak... będę więc wolną... gdy wyjde na świat, i spokojną o przyszłość. Nie zaznam troski o jałowe utrzymanie i środki do życia...

Arnholm. Tak, nie strwoni pani nawet chwili, aby o tem pomyśleć. I w tem jest pewna ulga, nieprawdaż?

Boletta. Oczywiście, i to dość wielka.

Arnholm otacza ją ramieniem. Zobaczy pani, jak my się zacisznie i wygodnie urządzimy. Jak zgodnie i pogodnie popłynie nasze życie...

Boletta. Tak, zaczynam... Przystaję już wątpić w przyszłość. Patrzy na prawo i uwalnia się z jego objęć. Ach! Tylko nikomu ani słowa!

Arnholm. Cóż się stało, najdroższa?

Boletta. Ten biedak... Pokazuje palcem. Widzi pan?

Arnholm. Ojca?

Boletta. Nie; tego młodego rzeźbiarza. Przechadza się tam z Hildą.

Arnholm. Hm, Lyngstrand. Cóż on?

Boletta. Wie pan zapewne, jaki on chorowity.

Arnholm. Tak, o ile to nie polega na jego własnej wyobraźni.

Boletta. O nie, to smutna prawda. On nie pociągnie już długo. To może i lepiej dla niego.

Arnholm. Najdroższa, dlaczegoż lepiej?

Boletta. Bo... bo on w tej sztuce nie zajdzie zbyt daleko... Chodźmy, zanim oni nadejdą.

Arnholm. Bardzo chętnie, kochana Boletto. Odechda na lewo.

Hilda i **Lyngstrand** pojawiają się na prawo, nad stawem

SCENA V.

Hilda i Lyngstrand.

Hilda. Hej! Hej! Nie poczekajcie państwo na nas?!

Arnholm. Idziemy naprzód z Boletą. Znikają na lewo.

Lyngstrand uśmiecha się cicho. To doprawdy bajeczne. Wszyscy chodzą teraz we dwójkę. Same pary.

Hilda śledzi odchodzących. Prзыięgłabym, że onby się z nią ożenił.

Lyngstrand. Ach! Zauważyła pani coś?

Hilda. To takie jasne, trzeba tylko umieć patrzeć.

Lyngstrand. Ale panna Boletta za niego nie wyjdzie — to więcej niż pewne.

Hilda. O, nie. On się jej wydaje za stary, a przytem grozi mu łysina.

Lyngstrand. To nie jedyny powód. Są inne jeszcze.

Hilda. Skąd pan je może znać?

Lyngstrand. Bo panna Boletta komu innemu przyrzekała, że o nim będzie myślała.

Hilda. Tylko myślała?

Lyngstrand. Tak, w czasie jego nieobecności.

Hilda. Ach, więc to o panu ona myśleć będzie!

Lyngstrand. Może i o mnie.

Hilda. Przyrzekała panu?

Lyngstrand. Tak, pomyśl pani tylko, uroczycie mi obiecała. Ale niech mię pani nie wyda, że przed panią to zdradziłem.

Hilda. Broń Boże! Milczę jak grób.

Lyngstrand. Widzę w tem wielką z jej strony łaskę.

Hilda. Zamierza pan po powrocie prosić o jej rękę, a potem ją poślubić?

Lyngstrand. Nie, to niewykonalne. Przez kilka najbliższych lat nie mogę o czemś podobnem myśleć. A później będzie cokolwiek dla mnie za starą.

Hilda. I mimo to domaga się pan, aby zawsze o panu myślała.

Lyngstrand. Tak, bo to ogromnie dla mnie pożądane — dla mnie jako artysty. A ona i tak nie ma żadnego zadania życiowego... Mimo to jestem jej bardzo wdzięczny.

Hilda. Spodziewa się pan, że praca pójdzie panu lepiej, gdy Boletta będzie o panu myślała?

Lyngstrand. Pod pewnym względem... Już sama myśl, że gdzieś tam daleko, młoda, przystojna i wrażliwa kobieta o mnie myśli i marzy, ma w sobie coś... coś... czego właściwie określić nie umiem.

Hilda. Coś podniecającego, może?

Lyngstrand. Podniecającego? Być może... zapewne.

Wpatruje się w nią chwilę. Taka pani inteligentna, panno Hildo. Bardzo pani inteligentna. Gdy wrócę z mojej podróży, będzie pani mniej więcej w tym samym wieku, co siostra teraz. Będzie pani zapewne także do niej podobną. Będzie pani może i podobnego, co ona usposobienia. Może będzie pani wtedy nią samą i sobą w jednej postaci.

Hilda. Chciałby pan, by tak było?

Lyngstrand. Nie wiem sam... A możebym i chciał. Ale teraz, tego roku wolałbym panią taką, jaką jesteś. Tak mi się pani również bardzo podoba.

Hilda. Podobam się panu?

Lyngstrand. Podobam mi się pani bardzo.

Hilda. Hm... powiedz mi pan — jako artysta — czy to ładnie, że ja w lecie noszę zawsze jasne suknie?

Lyngstrand. O ładnie, zapewniam panią.

Hilda. A sądzi pan, że mi w jasnych kolorach dobrze?

Lyngstrand. Według mego zdania bardzo — nawet.

Hilda. Ale powiedz mi pan jeszcze — jako artysta — jakbym wyglądała w czarnej sukni?

Lyngstrand. W czarnej, panno Hildo?

Hilda. Tak, w całkiem czarnej. Sądzi pan, że mi będzie dobrze?

Lyngstrand. Czarne stroje nie nadają się właściwie na lato. Ale paniby to nie speściło. Ma pani bardzo szczęśliwą postawę i cerę.

Hilda na pół poważnie. W czerni aż po szyję, w czarnych rękawiczkach i długim do nóg, czarnym welonie...

Lyngstrand. W takim stroju chciałbym — gdybym był malarzem — panią malować. Stworzyłbym portret młodej, ładnej, bolejącej wdowy.

Hilda. Lub też młodej, bolejącej narzeczonej.

Lyngstrand. To jeszcze trafniej... Ale nie życzy sobie pani chyba takiego losu?

Hilda. Nie wiem sama. Zdaje mi się, że to musi być bardzo podniecające.

Lyngstrand. Podniecające?

Hilda. Sama myśl o tem już podnieca. Pokazując na lewo w dal. Patrz pan!

Lyngstrand szuka wzrokiem. Parowiec angielski! Tuż obok brzegu!

SCENA VI.

Ci sami i Wangel z Ellidą; nadchodzą z prawej strony z nad stawu.

Wangel. Nie, mylisz się Ellido, wierzaj mi! Zauważa Hildę i Lyngstranda. Jesteście tu? Nieprawdaż, panie Lyngstrand, nie widać go jeszcze?

Lyngstrand. O okręt pan pyta?

Wangel. Tak!

Lyngstrand pokazując. Już zawinął, panie doktorze.

Ellida. Ach! wiedziałam!

Wangel. Zawinął więc!

Lyngstrand. Niemal jak złodziej nocny — tak się cicho i bez szelestu skrada.

Wangel. Pójdź pan z Hildą na wybrzeże. Usłyszycie muzykę. Śpieszcie się!

Lyngstrand. Wybieraliśmy się właśnie...

Wangel. Idźcie! Przyjdziemy może także. Idźcie!

Hilda szeptem. Oni chodzą także we dwójkę. Odechdą oboje na lewo przez ogród.

SCENA VII.

Ellida, Wangel, po chwili **Obcy.** Podczas tej sceny dochodzą z nad fiodru dźwięki dętej muzyki.

Ellida. Jest! Czuję, że jest w pobliżu!

Wangel. Oddał się, Ellido. Pozwól mnie samemu z nim się rozmówić.

Ellida. Ach — to niemożliwe! Niemożliwe! Wydaje okrzyk. Ach, widzisz go!

Obcy nadchodzi z lewej strony ścieżką, i zatrzymawszy się za płotem, kłania się. Dobry wieczór. Wracam, Ellido.

Ellida. Tak... nadeszła pora.

Obcy. Jesteś gotową do podróży — czy też nie?

Wangel. Widzi pan przecie, że nie.

Obcy. Nie o strój podróży mi przecie chodzi, ani o toboły. Wszystko, czego zapotrzebuje, mam na okręcie. Przygotowałem jej nawet kajutę. Do Ellidy. Pytam więc, Ellido, czy chcesz — z własnej, wolnej woli — iść ze mną.

Ellida błagalnie. Nie pytaj mnie! Nie wiedź mnie pan na pokuszenie.

W dali słyszeć się daje wołanie dzwonu okrętowego.

Obcy. To pierwsze dzwonięcie. Musisz teraz powiedzieć: Tak lub nie!

Ellida załamuje ręce. Chwila rozstrzygająca! Na całe życie! Nieodmienny wyrok!!

Obcy. Nieodmienny i wieczysty! Za kwadrans będzie za późno.

Ellida patrzy nań trwoźnie i badawczo. Skąd ta niewzruszona pewność wobec mnie?

Obcy. Czy nie czujesz, że oboje do siebie należymy?

Ellida. Z powodu owego przyrzeczenia?

Obcy. Przyrzeczenia nic nie znaczą. Nie wiążą ani mężczyzn, ani kobiety. Jestem tak niewzruszonym wobec ciebie, bo innym być nie mogę.

Ellida cichym i drżącym głosem. Dlaczegoż nie przyszedł pan wcześniej?

Wangel. Ellido!

Ellida z nagłym okrzykiem. Ach, ta siła co mię nęci, wabi i kusi ku tej wielkiej zagadce! Cała potęga morza skupiła się w tym człowieku!

Obcy przeskakuje płot.

Ellida cofa się. Co to?! Czego sobie pan życzy?

Obcy. Widzę to i czuję, Ellido, że w końcu — mimo wszystko — mnie wybierzesz.

Wangel staje przed nim. Moja żona nie ma wyboru. Ja będę za nią wybierał i jej bronił. Tak, bronił. Jeśli pan natychmiast tych okolic nie opuści lub kiedykolwiek tu się jeszcze pojawi, to chwycimy się innych środków.

Ellida. Nie, nie, zostaw to!

Obcy. Czem mi pan grozi?

Wangel. Każę pana uwięzić — jako zbrodniarza. I to bez zwłoki, zanim zdążysz na pokład! Wiem już kto jest sprawcą zbrodni na kapitanie okrętu.

Ellida. O!.. Jak możesz!..

Obcy. Byłem na to przygotowany. I dlatego...
wyjmuje rewolwer z kieszeni ...zaopatrzyłem się w to oto.

Ellida zasłania sobą Wangla. Nie, nie zabijaj go pan! Raczej mnie!

Obcy. Bądź spokojną. Nie zabiję ani jego, ani ciebie. To broń dla mnie. Bo chcę żyć i umierać jak człowiek wolny.

Ellida z potęgującym się uniesieniem. Wangel! Wysłuchaj mię, zanim on jeszcze odejdzie! Możesz mię zatrzymać, masz władzę i środki ku temu — i uży-

jesz ich niewątpliwie. Ale moich uczuć, moich myśli, mojej palącej tęsknoty i pożądania — nie zdołasz usidlać! One wyrwać się będą i mknąć w tę mroczną dal — dla której jestem stworzona — i którą zapierasz przedemną.

Wangel pełnym bólu głosem. Widzę to, Ellido, każda godzina tworzy coraz głębszą między nami przepaść. To pożądanie rzeczy bezkresnych i nieuchwytnych, omroczy jeszcze kiedyś twój umysł.

Ellida. Ach, czuję już jakieś ponure, niepokojące drgnienia.

Wangel. Temu należy zapobiedz, a innego ocalenia nie widzę. I dlatego cofam na miejscu kupno — jesteś wolną. Możesz w swobodzie i niekrepowana dokonać wyboru.

Ellida wpatruje się weń chwilę bez tchu. Czy to prawda! Czy te słowa pochodzą z serca, z głębi twego serca?

Wangel. Tak — z głębi mego zbolatego serca.

Ellida. I możesz się zdobyć na to? Możesz na to przystać?

Wangel. Mogę. Mogę — bo kocham cię bez granic.

Ellida cichym, drżącym od wzruszenia głosem. Tak bardzo blizką, tak serdecznie blizką stałam ci się?

Wangel. Dokonać się to w ciągu naszego współżycia.

Ellida załamuje ręce. A ja... nie umiałam tego dojrzeć!

Wangel. Bo twoja dusza szła innymi drogami. Ale teraz jesteś wolną od wszelkich więzów, ode mnie i od wszystkiego, co mojem jest. Teraz możesz swobodnie rozrządzać swem życiem, pokierować je na właściwą drogę. Teraz możesz zależna tylko od siebie — i wobec siebie odpowiedzialna, wyboru dokonać.

Ellida ścisną skroń rękami, i wpatruje się w Wangla. Zależna od siebie i przed sobą odpowiedzialna! Odpowiedzialna... w tem nowe się kryje niebezpieczeństwo.

Dzwon okrętowy rozlega się po raz wtóry.

Obcy. Słyszysz, Ellido! To ostatnie upomnienie! Chodź!

Ellida zwraca się do niego, i mierząc weń wzrokiem, mówi stanowczym głosem. Nie pójdę z panem — po tem wszystkim!

Obcy. Nie pójdiesz?!

Ellida chwytą się ramienia Wangla. Nie opuszczę cię nigdy — po tem, co zaszło!

Wangel. Ellido! Ellido!

Obcy. A więc: Nie!

Ellida. Tak: Nie — po wszystkie czasy!

Obcy. Widzę... Tu jest coś, co silniejem jest jak moja wola.

Ellida. Pana wola jest teraz bezwładna wobec mnie. Dla mnie jesteś pan topielcem, który na chwilę opuścił dno morza, aby znowu doń wrócić. Nie odczuwam już grozy, wionącej od pana — ni uroku.

Obcy. Żegnaj panią, pani Wangel. Przeskakuje płot. Odtąd nie jesteś pani niczem dla mnie — jak wspomnieniem przebytej burzy. Odechodzi na lewo.

SCENA VIII.

Wangel. **Ellida.**

Wangel patrzy na nią chwilę. Ellido, twoja dusza jest jak morze. Ma chwilę przyływu i odpływu. Skąd ta zmiana?

Ellida. Nie rozumiesz tego, że zmiana zaszła — zająć musiała — w chwili, gdy posiadałam wolność wyboru.

Wangel. A nieznana dal — nie wabił cię już?

Ellida. Już mię nie wabi, ani trwoży. Mogłam ją posiąść, ogarnąć, dostąpić jej — gdyby taką była moja wola. I dlatego też mogłam mu odmówić.

Wangel. Zaczynam cię rozumieć — powoli. Ty myślisz i odczuwasz obrazami, kształtami. Twoja

tęsknota i pożądanie morza, twoje ku niemu ciężenie — i ów wpływ tego obcego — to nic jeno wyraz wzbierającej w tobie żądzy wolności. Nic nadto.

Ellida. Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Dobrym byłęś mi lekarzem. Znalazłeś odpowiedni środek i — miałeś odwagę go użyć, tego jedynego środka.

Wangel. Tak, w obliczu groźnego niebezpieczeństwa musi się lekarz chwycić ostateczności. Wracasz więc do mnie, Ellido?

Ellida. Tak, mój drogi, wierny towarzyszu. Mogę teraz to uczynić, bo jestem wolna i — odpowiedzialna jedynie wobec siebie.

Wangel patrzy na nią z radością. Ellido! Ellido! Co to za radośna myśl, że odtąd nas już nic dzielić nie będzie!

Ellida Krom wspomnień — twoich i moich.

Wangel. Tak, moja droga.

Ellida Życ będziemy dla siebie i naszych dzieci.

Wangel. Naszych mówisz!

Ellida. Dla tych, których nie mam, ale które — zdobędę.

Wangel Nasze! Całuje ją uradowany w rękę. Jakżem ci wdzięczny za to słowo!

SCENA IX.

Ci sami, tudzież Hilda, Ballested, Lyngstrand, Arnholm i Boletta. Nadchodzą wszyscy z lewej strony do ogrodu. Za płotem na ścieżce nadpływają gromady mieszczan i letników.

Hilda półgłosem do Lyngstranda. Patrz pan — ojciec i ona wyglądają jak narzeczeni.

Ballested który to słyszał. Mamy przecie lato, panienko.

Arnholm zwrócony ku Wanglowi i Ellidzie. Teraz odbija parowiec.

Boletta idąc ku płotowi. Stąd go ujrzymy.

Lyngstrand. Ostatnia wyprawa tegoroczna.

Ballested. Niezadługo zamkną się wrota morza, jak mówi pogaństwo. Do Ellidy. To smutne, pani dobrodziejko. A przytem opuszcza nas pani na pewien czas. Woli pani Skjoldwik...

Wangel. Nie, z tego nic nie będzie. Zmieniliśmy dziś wieczór zamiar.

Arnhelm nieco zdziwiony. Doprawdy?

Boletta zbliża się do Wangel. Czy tak, ojcze?

Hilda do Ellidy. Zostajesz więc z nami!

Ellida. Tak, moja mała, jeśli tylko zechcesz.

Hilda śmieje się ze łzami w oczach. Ach... czy chcę!...

Arnhelm do Ellidy. To doprawdy niespodzianka!

Ellida uśmiecha się, potem mówi poważnie. Widzi pan... Pamięta pan naszą wczorajszą rozmowę? Skoro się raz zabłąkaliśmy na ląd, trudno już odnaleźć drogę do morza i do jego życia.

Ballested. To jakby kobieta morska.

Ellida. W tym rodzaju.

Ballested. Z tą tylko różnicą, że kobieta morska wskutek tego zabłąkania umiera, a ludzie... oni się wszędzie akklam...akli...matyzują. Tak, tak, zapewniam panią, oni umieją się a...kli...matyzować!

Ellida. Tak, panie Ballested, o ile są wolni.

Wangel. I czują swoją odpowiedzialność, Ellido.

Ellida podaje mu szybko rękę. O to właśnie chodzi.

Parowiec przemyka przez fiord. Dźwięki muzyki zbliżają się.



105854

**KSIĘGARNIA
WILHELMA ZUKERKANDLA w Złoczowie**

poleca wydane w Bibliotece powszechnej
**CHARAKTERYSTYKI LITERACKIE
PISARZÓW POLSKICH:**

- I. Słowacki przez M. Mazanowskiego (Nr. 193/195)
- II. Mickiewicz przez A. Mazanowskiego (Nr. 207/209)
- III. Krasiński przez M. Mazanowskiego (Nr. 221/222)
- IV. Maleczski przez M. Mazanowskiego (Nr. 227)
- V. Ujejski przez A. Mazanowskiego (Nr. 234)
- VI. Kochanowski przez A. Mazanowskiego (Nr. 237/238)
- VII. Fredro przez M. Mazanowskiego (Nr. 316)
- VIII. Krasiński przez A. Mazanowskiego (Nr. 340/341)
- IX. Sienkiewicz przez Chmielowskiego (Nr. 427/428)
- X. Brodziński przez Chmielowskiego (Nr. 431/432)
- XI. Najnowsza poezya polska przez Dra M. Janika
(Nr. 445/446)
- XII. Bohdan Zaleski przez Zdziańskiego (Nr. 485/486)
- XIII. Kasprowicz przez A. Stodora (Nr. 511)
- XIV. Rej przez Dra M. Janika (Nr. 521/523)
- XV. Kraszewski przez M. Mazanowskiego (Nr. 531/533)
- XVI. Wyspiański przez A. Mazanowskiego (Nr. 602/603)
- XVII. Literatura polska syberyjska przez Dra Michala
Janika (Nr. 622/623)
- XVIII. Seweryn Goszczyński przez M. Mazanowskiego
(Nr. 651/652)
- XIX. Kazim. Przerwa-Tetmajer przez A. Mazanowskiego
(Nr. 832/833)
- XX. Marya Konopnicka przez A. Mazanowskiego
(Nr. 871/874)

105 854

Najtańsze polskie wydawnictwo:

BIBLIOTEKA POWSZECHNA
ZUKERKANDLA.

Dotychczas wyszło

1087 numerów.



Każde dzieło

osobno

Na składzie w księgarni
SZCZEGÓŁOWE KATALOGI NA ŻĄDANIE DA

NAJNOWSZE TOMIKI:

- | | |
|--|---|
| 1036-1040. Szekspir, Król Ryszard III. Tragedja w 5 aktach, przekład Józefa Paszkowskiego. | 1073. Łucjan Slemieński. Portrety literackie II. Ka-
jetan Węgierski. |
| 1041-1050. Józef Korzeniowski, Krewni. Powieść. Tom I. | 1074. Teofil Lenartowicz, Bitwa Raclawicka. |
| 1051-1060. Józef Korzeniowski, Krewni. Powieść. Tom II. | 1075-1081. I. I. Kraszewski, Poeta i świat. Powieść. Dwa tomy. |
| 1061-1063. Juliusz Słowacki, Poezje. | 1082-1084. Józef Bilzłowski, Pan Damazy. Komedja w 4 aktach. |
| 1064-1065. Byron, Korsarz. Przekład A. E. Odyńca. | 1085-1087. Leonidas Andrejew, Wilhelm II. i Jeniec. Rozmowa nocna opowieść, i inne nowele. Przełożył Józef Mondschei- |
| 1066-1070. Fryderyk Schiller, Marja Stuart. Tragedja w 5 aktach. Przekład M. Budzyńskiego. | |
| 1071-1072. Juliusz Słowacki, Podróż na wschód. | |

DALSZE TOMIKI W DR